

**NR 37**  
styczeń–luty  
**2002**

# aleje 3

**DWUMIESIĘCZNIK  
KULTURALNY  
CZĘSTOCHOWY**

ISSN 1427-8812 CENA 1,50 ZŁ



Fot. Janusz Mielczarek, „Poszukując dźwięku I”

**W NUMERZE:**

**Hurnikowa o Wilhelmim \* Marjańska o komórkach \* Burszewski o Piwowarskim \* Gierymski o Janowskim \* Mielczarek o QKSie**



Fotografie Janusza Mielczarka; po prawej: „Poszukując dźwięku 3”  
poniżej: „Poszukując dźwięku 2”



## SPIS TREŚCI

|                     |    |
|---------------------|----|
| muzyka              | 4  |
| poezja              | 5  |
| proza               | 9  |
| recenzja            | 11 |
| historia literatury | 12 |
| zapiski o świecie   | 14 |
| proza               | 17 |
| z miasta            | 22 |
| obserwacje          | 24 |
| wspomnienia         | 28 |
| plastyka            | 32 |

**aleje 3**

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Pismo finansowane przez  
Urząd Miasta Częstochowy

## WYDAWCA

Biblioteka Publiczna  
im. dra Władysława Biegańskiego  
w Częstochowie  
al. NMP 22, 42-200 Częstochowa  
kontakt: BOGDAN HENNIG

## REDAKCJA

ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa  
tel. (034) 371 07 89  
e-mail: aleje3@emediapro.com.pl

Redaktor naczelny

KRYSZTOF PIWOWARSKI

Zespół redakcyjny:

SŁAWOMIR BURSZEWSKI  
ARKADIUSZ ZAJĄC

Redakcja tekstów i korekta

ANNA WOLAŃSKA

Redaktor techniczny

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ

## DTP

wydawnictwo  
**emedia**ul. Równoległa 63, 42-200 Częstochowa  
tel. (034) 371 07 89

## DRUK

DRUKARNIA **KEMOT**  
Częstochowa, ul. Krakowska 45

Projekt okładki, layout i opracowanie graficzne

MAREK NIEDOSTATKIEWICZ  
ARKADIUSZ ZAJĄCRedakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania  
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

**N**AJWIĘKSZYMI BESTSELLERAMI ubiegłego roku były bezsprzecznie „Dziennik Bridget Jones” Helen Fielding (dla dorosłych) i cykl o Harrym Potterze J.K. Rowling (dla dzieci). Doczekaliśmy się czasów, kiedy we wszystkich krajach panuje podobny gust. Gdyby to była tylko sprawa gustu... Dla mnie jest to znak triumfu globalnej wioski nad kulturami narodowymi. Ogromna machina promocyjna potrafi obecnie zarazić wszelką „manią” Japończyka, Masaja, Latynosa, Rosjanina czy Francuza. Może jedynie Arabowie są trochę odporniejsi... Nie będę z tego powodu rwał włosów z głowy, bo wiele już stron rozpaczy wydrukowano w polskich czasopismach. Sądzę, że trzeba się z tym po prostu pogodzić, gdyż pewne zjawiska masowe są nie do opanowania, podobnie jak fala wody z zerwanej tamy zalewająca wszystko na swojej drodze. Niektórzy sprytni autorzy wyciągają wnioski z zalet łączenia mediów w dzisiejszych czasach. Ktoś, kto wydaje książkę, musi też myśleć o jej ekranizacji, produkcji gier komputerowych i pamiątkowych gadżetów. Powinien zastrzec swój znak firmowy, a nawet nazwisko (słynne sprawy dwóch Sapkowskich i restauracji „Di Caprio”). Polski odpowiednik Fielding – Katarzyna Grochola – wydaje jedną książkę za drugą, korzystając z popularności tzw. „nowej literatury kobiecej”. Przygnębia fakt, że naśladowczyń jest więcej i rynek zalewają dziesiątki tytułów w stylu „Seks w wielkim mieście” czy „www samotna pozna com” itp. Nie jest to nawet literatura feministyczna, raczej nazwałbym ją „babską głupawką”, nie ubliżając oczywiście wielkim pisarkom, dla których mam ogromny szacunek. Zalewa nas najzwyczajszą chałą bez większych wartości artystycznych. Podobnie z Potterem, który podobno ode-rwał dzieci od komputerów. Ciekawe

na jak długo? Moda na „hokus-pokus” też szybko mija. Dzieci znają Pottera, a nie mają pojęcia o „Akademii pana Kleksa” i książkach np. Doroty Terakowskiej (o ileż ciekawszych). Boli mnie, że kultura anglosaska jest aż tak uniwersalna.

Jak zwykle rozczarowała mnie Nagroda Nobla dla kolejnego nieznanego w Polsce pisarza (w tej chwili ciepło wspominam nawet błaznowatego Dario Fo). Nagroda Nike dla dekadenta Pilcha – powiedzmy że mu się należała w pojedynku z „Sąsiadami” T. Grossa. Rozczarowaniem były z pewnością ekranizacje „bryków” literackich – „Przedwiośnia”, „Quo Vadis”, „W pustyni i w puszczy” oraz kultowego „Wiedźmina”. Okazuje się, że nie wystarczy dobra książka, by film był udany. W przypadku tego ostatniego gatunek fantasy został szpetnie ośmieszony. Prawda jest naga: dwóch rodzajów filmów Polacy nie zrobią na przyzwoitym poziomie – science fiction i fantasy, gdyż do ich produkcji potrzebne są olbrzymie pieniądze i supernowoczesna technika, w którą kraj nad Wisłą i Wartą jest ubogi (dla porównania „Władca Pierścieni”). Technologicznie niestety jesteśmy na poziomie kultury łużyckiej w stosunku do sięgającego gwiazd i wnętrza atomu Zachodu. Dlatego promujemy to, co przaśne, rubaszne i włościańskie (w rękodziele, gastronomii oraz kulturze) i to nam jeszcze najlepiej wychodzi. Oglądając polskie filmy można dojść do wniosku, że Polacy to naród satyryków i komediantów. Zwolennicy kina niekomercyjnego mogli w listopadzie uczestniczyć w objazdowym festiwalu filmowym „Filmostrada” w OKF- ie. Dobry pomysł i pyszna strawa dla tych, którzy nie trawiają Bridget Jones i Harry Pottera, a do których zalicza się –

*Sławomir Burszewski*

# W poszukiwaniu dźwięku

*Tekst i fotografie: Janusz Mielczarek*

**T**AK WŁAŚNIE NAZWAŁEM SERIE FOTOGRAFII zrobionych prawie przez przypadek trzem pasjonatom, którym nie wystarczają przyjęte i powszechnie akceptowane kanony muzyczne. Nazywam to przypadkiem ponieważ nie znając ich wcześniej byłem przekonany, że uprawiają którąś z odmian bliskiego mi jazzu i z takim nastawieniem przyszedłem ich fotografować w czasie próby w sali Ośrodka „Gaude Mater”.

Pierwsze wątpliwości pojawiły się, gdy muzycy rozpoczęli „dozbieranie” instrumentów. Służyły im do tego różnej długości patyczki, plastikowe rurki, szpulki po plastrach wkładane pomiędzy struny kontrabas, a także pokrywki od puszek i paski blachy, których zadaniem miało być zmienione brzmienie gitary oraz inne przedmioty nie mające, z pozoru, związku z tradycyjnie pojętym muzykowaniem.

Już kilkanaście pierwszych taktów pokazało rolę tego niezwykłego instrumentarium. Zaskoczenie było oczywiste. To nie był jazz! Patrząc z pozycji ignoranta, była to po prostu tak zwana „kocia muzyka”. Ale im dłużej przebywałem wśród trójki młodych ludzi, im bardziej wsłuchiwałem się w brzmienie ich udziwnionych instrumentów, a jednocześnie obserwowałem zachowanie, wyrazy twarzy – wewnętrzne uprzedzenia topniały, blokada ustępowała. Sięgnąłem po aparat i także rozpocząłem swój bezgłośny seans opowiadania obrazami. Coraz bardziej poddając się pasji, z jaką trzej niedawno poznani młodzi ludzie niezwykłością dźwięków budowali coś innego, niż to co jest mi bliskie jako muzycznemu odbiorcy, dinozaurowi o dość szerokich zainteresowaniach.

Skłamałbym, gdybym nagle bez reszty oddał się wyłącznie odsłuchiwanie dźwięków, z jakimi zetknąłem się tamtego przedpołudnia na zaciętej scenie w „Gaude Mater”, ale prawdą jest, że są chwile, gdy odczuwam potrzebę posłuchania tego, z czym zetknąłem się na próbie QKSa. O nim to właśnie te słowa i o tych, którzy go tworzą.

Bartek Qźniak jest częstochowianinem. Imiał się różnych zawodów nie zawsze związanych z muzyką. Czynił to – jak mówi – po to, aby zdobyta wiedza i doświadczenie owocowały w muzyce dla której żyje. Ma bogatą przeszłość muzyczną: przez ostatnie sześć lat grał z około

sześćdziesięcioma muzykami, także w składach międzynarodowych. Kilka lat temu dostrzegł na swojej zawodowej drodze moment patowy, ograniczający możliwości oderwania się od sposobu myślenia skalą, rytmem. Podobne rozterki, muzyczny los, a może sygnałne fluidy wysyłane w eter, dwa lata temu zetknęły go z Dawidem Kosiarkiewiczem i Zbigniewem Szmatłochem. Pierwszy, także multiinstrumentalista, absolwent nowojorskiej „New School of Social Research” na wydziale jazzu, przyjeżdża do Częstochowy z Wrześni. Zbigniew Szmatłoch, szczecinianin, to przede wszystkim gitarzysta, ostatnio także twórca muzyki do spektakli teatralnych i baletowych, także japońskich i niemieckich.

Muzyka jest dla nich najważniejsza. Przy posiadanych umiejętnościach i talencie mogliby zupełnie przyzwoicie egzystować. Ogarnięci jednak potrzebą szukania nowego języka muzycznego, trudnego do powszechnej akceptacji, muszą ponosić tego konsekwencje w tak zwanym życiu codziennym.

Jakież to irracjonalne i nielogiczne w tych wszawych czasach – nadzwyczajna wierność artystów wobec przyjętych ideałów, ale jakże inne i romantyczne.

Czasem grają muzykę wyłącznie intuicyjną. Innym razem budują wspólnie „komórki dźwiękowe”, by w czasie koncertu nawiązywać do tych gotowych, wcześniejszych ustaleń. Realizują też zespołowo pewne warunki dotyczące dynamiki, harmonii, brzmień i współbrzmień, ale interpretacja i wybór dźwięku pozostawiona jest wykonawcy. Byłoby to niemożliwe bez szczególnego rodzaju więzi muzycznej, rozumienia się w skali makro. Bez tego jednak prawdopodobnie nigdy w życiu nie zetknęliby się, aby – przeważnie raz w miesiącu – spotkać się warsztatowo i stworzyć muzykę, napędzającą ich artystyczne i egzystencjalne turbiny.

Nie zastanawiają się nad odbiorem ich grania. Szukają nowych brzmień. W zasadzie nie poprawiają rzeczy starych. Idą do przodu zafascynowani poszukiwaniem dźwięku. On to bowiem, ta nieuchwytna, wibrująca struga powietrza potrafi budować wyobraźnię jak nic innego.

Z krzykiem rodzimy się i umieramy w ciszy, żeby przez całe życie być nieustannym łowcą dźwięków radości, strachu i miłości. ■

## MAREK BRASZCZYŃSKI

\*\*\*

wygrywałem gładko jak Wszola  
wygrywałem sprint białymi oponami na Stadionie  
dziesięciolecia  
wygrywałem z paranoją autyzmem milczeniem  
cummins nade mną czuwał i Królowa Bona

szampan spływał z ust Dziewczyny  
zwalonej pod starym drzewem  
ale wspomnienie przeczy konwencji miłosnej  
Ewa geny bezskuteczne listy

## Dedykacja

Niedorozwiniętym dzieciom –  
najlepsze kasety

dzieciom klasy średniej –  
sponsorowane pocałunki  
podręcznik Higieny

rękopisy szkice psychicznych  
– workom koszom na śmieci  
czarny cień, zielony charakter

odnalezionemu blokowi –  
piosenka sprzed lat  
albo nawet cały festiwal  
fruwa moja Marności awionetka

metalowa sukienka wspomnień:  
pod którym semaforem  
rocznica urodzin Marcela  
Prousta?

## ARTUR MIKA

\*\*\*

dla Ionesco

Siedzę w fotelu  
Wciśnięty w oparcie  
Prędkością zdarzeń  
Bezkrwiste wargi  
Nie czują już smaku dźwięków  
Deski sceny skrzypią  
Pod ciężarem metafizyki  
W moim wnętrzu powolny obrót  
Sfery splekanych fresków.

\*\*\*

Kradnę ogień  
Płonącym pamiętnikom  
Stosom papierowych dni  
Łzy rozbite  
Na tysiąc słońc  
Spadają  
Z prędkością  
Ciemności.

\*\*\*

„Obłąd to wszystko co dane”  
S. Beckett

Naiwne wątki  
Wplecione w palce  
Pustka zamknięta  
W trumnach sześciokątów  
Drżące sylaby  
W przedśmiertnych konwulsjach  
Boży palec  
Wymierzony w tył głowy.

\*\*\*

Za oknem zmierzch bogów  
Chłodny błękit wyrzuca na brzeg  
Wrak człowieka  
Skurczony wszechświat  
Zaciska się w pięść  
Krew wsiąka w kwarcowy piasek  
Szlachetny kruszec minut  
Puszczam ustami  
Koła dymu zmienione w słowa  
Domokrążcy sprzedają  
Tandetne relikwie.

fot. Jacek Kamiński





fot. Jacek Kamiński

**TADEUSZ RUTKOWSKI**

**Amadeus**

I to jest twój godny pożałowania koniec  
trudno uwierzyć  
W śnieżnej zamieci i wicherze  
zaledwie widać twoją trumnę

Gdzie są twoi wszyscy przyjaciele Amadeus  
przynajmniej ci z którymi blisko żyłeś  
Nie widzę nawet Konstancji  
Och Amadeus Amadeus

Widzisz życie jest ciężkie  
Życie nie jest jak twoja muzyka  
Weberowa zastawiła na ciebie pułapkę  
i ty się dałeś złapać

Pani muzyka cię wspaniale obdarowała  
z gwiazd płynie twoja nocna serenada  
Dźwięki tak słodkie jak gdyby na świecie  
tylko zaczarowane flety istniały

A świat jest wciąż ten sam  
okrutny i bez litości  
nie nauczyłeś się  
bez skrupułów walczyć

Roztrwasz swoją muzykę  
rozdajesz ją darmo gdy rodzina  
w zimnym pokoju i o głodzie  
Kiedyś zmądrzejesz wreszcie Amadeo

Jesteś sam muzyką  
wytrząsas ją z rękawów fraka  
Jesteś dobry i wspaniałomyślny  
i to jest twoją klęską

Bogaci myślą: jest naiwny  
z pożałowaniem patrzy na ciebie Konstancja  
Twoja „Stanzerl” jak ją miłośnie nazywasz  
i która cię nigdy nie rozumiała

Twój koniec jest gorzką prawdą  
Świat nie chce cię oglądać  
Świat potrzebuje cię tylko gdy tworzysz  
Twoja rola jest skończona

Zaczarowany flet śpiewa arię Królowej Nocy

# turniej jednego Wiersza

## MARCIN JANOCHA

### Dzień jak nie co dzień

|                  |                  |
|------------------|------------------|
| wrząca           | stopy            |
| woda             | penetruję        |
| za bardzo        | kuchenny lenteks |
| wypełniła        | krwinki          |
| bryłę szklanki   | rozbiegły się    |
| na stole         | po podłodze      |
| rozsypany        |                  |
| cukier           | morze            |
| stoi             | czerwone         |
| piramidą         |                  |
| widelec          | dziś             |
| zaczepia łyżkę   | światło          |
| a nóż            | załamało         |
| ciętym językiem  | się pod          |
| pokrwawił        | zupełnie         |
| nadgarstek       | innym kątem      |
| rana             |                  |
| kwitnie          |                  |
| na czerwono      |                  |
| głowa            |                  |
| walczy z myślami |                  |

Przy okazji chciałbym poinformować, że dzięki życzliwości dyrekcji Ośrodka i p. Marioli Florek w lokalu „Gaude Mater” działa literacka grupa seniorów o nazwie „Złota Jesień”. Spotkania dyskusyjne, połączone z czytaniem wierszy przez autorów oraz dyskusją nad nimi, odbywają się w każdą środę o godzinie 16.00. Zapraszamy do uczestnictwa we wspomnianych warsztatach literackich (głównie rajcujemy o poezji) każdego, niezależnie od wieku, kto pisze lub tylko lubi literaturę piękną. T.G.

W XIX turnieju nagrodę w wysokości 100 zł otrzymał Marcin Janocha z Myszkowa, uczeń III klasy L.O. im. Henryka Sienkiewicza za wiersz pt. „Dzień jak nie co dzień”. Wyróżnienia natomiast (niestety bez pieniężnej dotacji), uzyskał Stanisław Kaukus za tekst „Aleja NMP”, mieszkający też poza Częstochową, bo w Olsztynie. Tym razem Jury składało się z Tadeusza Gierymskiego (przewodniczący) oraz M. Waldemara Gaińskiego i Ryszarda Sidorkiewicza. Decyzja Sądu Konkursowego nie była jednorodna. Nic dziwnego, oba utwory były diametralnie różne. Wiersz Janochy bardziej „nowoczesny”, złożony prawie tylko z wersów jednosłownych. Ma oryginalny styl i koloryt. Ciekawy, choć dotyczy mało ważnego zdarzenia. Ale uczynienie z banalnego incydentu – interesującego tekstu, to też nie mała sztuka! „Dzień jak nie co dzień” kojarzy mi się z abstrakcyjnym malarstwem (np. tasyzmem) o czerwonym tonie. Estetyzm dla samego estetyzmu.

Wiersz natomiast (tylko wyróżniony) Stanisława Kaukusa dotyczy bolesnych spraw współczesnego życia. Bohater liryczny przechodzi w dżdżysty, zimny poranek Alejami NMP od Parku do Placu Daszyńskiego i widzi to, co i my widzimy, ale do czego już przywykliśmy, zobojętnieliśmy na takie widoki, traktując je jak uliczny folklor: żebrząca Rumunka z niemowlęciem na ręku, młody człowiek poszukujący pracy, z tabliczką na szyi itp. To wiersz prosty, bez retorycznych figur, pisany współczującym sercem. ■

T.G.

## STANISŁAW KAUKUS

### Aleja N.M.P.

Rumunka z wychudłym dzieckiem  
 Żebrze o kromkę chleba  
 Przed witryną piekarni  
 Kaleka bez nogi przed wystawą z butami  
 Skrzypek zawodzi podwórkową kołędę w szemranej bramie  
 Dziecko z tabliczką o wsparcie na leczenie  
 Nieuleczalnej choroby  
 Student pod barem  
 Z emblematem wysokiego ilorazu inteligencji  
 „Jestem zdrowy, zdolny  
 zbieram na piwo”  
 I ludzie!  
 Zastygli we mgle przerażającej  
 obojętności  
 W uporządkowanym chaosie  
 Z brudnymi butami  
 Do Maryjnego klasztoru  
 Ludzie honoru!

Bartosz Mazur

Częstochowa 29. XI 01

II Aleja 40 m 11

Urodziłem się w Częstochowie dnia 10 XI 1981 r.

Pomimo trwałej choroby skończyłem Szkołę

Podstawową nr 23 oraz Zespół Szkół Zawodowych

Specjalnych w Częstochowie przy ul. Krótkiej -

z dobrymi wynikami. Już w szkole podstawowej

zaczęłam pisać pierwsze wierszyki. Poza poezją

interesuję się również sportem - zwłaszcza

piłką nożną, koszykówką, narciarstwem.

Uwielbiam turystykę, spacerowanie, rekreacyjną

jazdę na rowerze, grę w badmintonie,

lechnię mnie duża wrażliwość na piękno,

życzliwość dla innych ludzi, pogoda ducha.

Jestem spokojnym i równoważnym młodzieńcem.

Z potrzeby serca na swój sposób opisuję rzeczywistość

prozą i poezją.

Jeden z moich wierszy "Głębokość Oceanu"

został opublikowany w prasie. Wygrał Turniej

Jednego Wiersza we wrześniu 2001 r.

Bartosz Mazur



**Nie martw się mammo**

Zobacz kochana mamusiu  
Już jestem dużym syneczkiem  
Zobaczysz mammo najmiłsza  
Ja zadbam o siebie  
Ja ci kochana pokażę  
Że mnie życie nie zgubi

Nie dam się mammo kochana  
Wiem że mnie kochasz prawdziwie  
Nie zobaczysz mnie pod mostem,  
Na ulicy, ni w bramie  
Będę walczył o swoje  
Rzucę się w wir życia  
Zobaczysz wszystko będzie dobrze

Nie będę narzekał na życie  
Będę bronił swego ze wszystkich sił  
Stojąc mocno przy swoim

Chciałbym Cię widzieć  
Szczęśliwą mamusiu

Będę twą miłość czuł przez obłoki  
A wspomnienia z dzieciństwa  
Przez słońce i gwiazdy oglądał.

**Bezkresy wód**

Gdzieś  
gdzie morze styka się z niebem  
niewidzialną linią  
tam jest widnokrąg na wodzie  
tak to otchłań morską  
niewypełniona próżnia  
tak  
jakbyś chciał do nieba dopłynąć

Niebo ucieka  
ty odpływasz od brzegu  
jakbyś chciał słońce dogonić  
by móc mu powiedzieć  
choćby nawet dobranoć  
Słońce nie słucha  
zachodząc głębiej za morze  
i tu się urywa twój dialog  
ciemno się robi  
już niemożliwe

musisz wracać do brzegu  
i gdybyś nawet popłynąć chciał  
jeszcze dalej w głąb morza  
i choćbyś się jeszcze wpatrywał

powiedziałbyś sobie  
to nie ma sensu  
i to jest kolego otchłań

**Nieporozumienie**

Żyję wśród dziwnych ludzi  
Co Słońca zapachu szukają  
Drzewo o nazwę pytają  
A drogą do celu idą

A przecież nie o to chodzi  
Czy róża błękitna czy biała  
Czy Słońce ma barwę czy zapach  
Czy rzeka do morza się wlała

Ważniejsze  
Że kwiaty piękne  
Że Słońce nas ciepłem obleka  
A rzeka płynąc w nieznaną  
z nadzieją na kres swój czeka

**Już po burzy**

Rozbłyska światłem piękny łuk nieba  
Skrząc się barwami z najprawdziwszych bajek  
Cud natura

Mienia się śliczne kolory  
Jak pozłoczone  
Skąpane w porannej rosie  
Aż podziw bierze

Jakby Anioł malował  
Roziskrzoną ozdobę niebios

Tęcza  
Piękna wstęga miłości  
Rozpalona, bajeczna, boska  
Rozpostarta droga do szczęścia  
Autostrada z marzeń

Tak, to najładniejsza z wielu dróg do Nieba



fot. Jacek Kamiński



# Rafał Wilhelmi

*Elżbieta Hurnikowa*

**7** GRUDNIA 2001 ROKU SKOŃCZYŁ 32 lata. Od dwudziestu lat mieszka w Wiedniu, ale urodził się w Warszawie. Jest synem Węgierki, Marii (Mariki) oraz polskiego aktora, Romana Wilhelmiego. Rodzice Rafała poznali się w Budapeszcie, podczas gościnnych występów zespołu teatru Ateneum na Węgrzech; Maria, znająca już wtedy język polski, była tłumaczem grupy polskich aktorów. Szybko zdecydowała się na przyjazd do Polski i spędziła tu 12 lat, mimo że małżeństwo z Romanem rozpadło się po kilku latach. Kiedy zaostrzył się kryzys gospodarczy w Polsce i życie codzienne stawało się coraz trudniejsze, podjęła decyzję o wyjeździe wraz z jedenaastoletnim synem do Austrii. Tu mogła utrzymać siebie i dziecko, chociaż początki były niełatwe; dzielili tradycyjny los emigrantów. Rafał uczęszczał do austriackich szkół, w roku 1989 rozpoczął studia (język polski i angielski) w Institut fuer Uebersetzer- und Dolmetscherausbildung der Universitaet Wien (Instytut Kształcenia Tłumaczy Uniwersytetu Wiedeńskiego). Ukończył je w roku 1996.

Wtedy właśnie, w roku 1995 poznałam Rafała. W okresie 1994-97 byłam lektorem języka polskiego w wymienionym Instytucie, a Rafał uczęszczał na prowadzone przeze mnie zajęcia. Zwrócił moją uwagę bardzo dobrą znajomością języka polskiego.

Zna także świetnie niemiecki i angielski. Kult dla języka polskiego wyniósł z domu rodzinnego. Jak daleko sięga pamięcią, rodzice rozmawiali ze sobą po polsku (węgierskiego nie zna wcale); Marika mówi jak rodowita Polka. Oboje – choć są obywatelami Austrii – czują się mocno związani z polską kulturą; w ich wiedeńskich mieszkaniach znajdują się polskie książki, obrazy, kasety z filmami (m.in. tymi, w których grał Roman Wilhel-

mi). Rafał ceni polskich twórców, zwłaszcza Andrzeja Wajdę, z którym miał okazję współpracować przed paroma laty jako tłumacz podczas Salzburger Festspiele. Od kilku lat prenumeruje polskie pisma: „Politykę” i „Wprost”, jest świetnie zorientowany w tym, co dzieje się w Polsce.

Zna także dobrze kulturę zachodnią, literaturę niemieckiego obszaru językowego. Fanatycznie wielbi pisarstwo Josepha Rotha, chętnie czyta Hessego, Musila, Werfla, a spośród liryków – kontrowersyjnego Charlesa Bukowskiego. Jak sam twierdzi, preferuje literaturę wolną od jakiegokolwiek patetyzmu czy pretensjonalności. W Polsce uczył się do szkoły muzycznej; żywi zamiłowanie do muzyki barokowej oraz Mozarta i Schuberta – ale i współczesnej, zwłaszcza lat osiemdziesiątych (New Wave).

Te humanistyczne zainteresowania (można jeszcze dopisać do nich historię XX wieku) rozwijał, pracując dorywczo lub w wolnych zawodach. Lista zajęć, dzięki którym się utrzymywał, jest iscie imponująca. Był bramkarzem w barze, ochroniarzem, listonoszem, kelnerem, urzędnikiem w głównej stacji telegraficznej, sanitariuszem w wojsku, garderobianym, ankierem podczas spisu ludności, statystował w filmie. Po ukończeniu studiów pracuje głównie jako tłumacz języka angielskiego i niemieckiego (jest specjalistą w zakresie prawa i wojskowości) dla różnych firm i instytucji (np. Ministerstwa Sprawiedliwości).

Od niedawna pisze wiersze. Może ta nietypowa biografia sprawiła, że próbuje w nich określić własną tożsamość, odnaleźć się we właściwym „krajobrazie”, określić się wobec świata, odpowiedzieć samemu sobie na pytanie: kim jestem. Pytanie, na które rzadko można znaleźć odpowiedź, ale z którym musi się zmierzyć każdy, kto sięga po pióro. ■

## Przetarte szlaki

Rzadko jesteście  
gotowi  
z żelazną konsekwencją  
przedmioty,  
nasze małe osobiste skarby  
oddać  
na rozkaz  
serca

przeważnie igramy  
przecież tylko z myślą  
żeby to zrobić  
i zawsze  
znajdzie się  
jakiś wykręt,  
który nazywamy uzasadnieniem,  
aby w końcu  
tego nie uczynić

Ukochana fotografia  
pozostaje u nas,  
przedmiot pełen znaczenia,  
cokolwiek by to nie było,  
zatrzymujemy go  
w końcu dla siebie  
– niczym grobowe akcesoria  
egipskich faraonów

Bo wierzymy,  
że miłość,  
która kiedyś nadejdzie  
– może –  
będzie  
jeszcze większa,  
jeszcze głębsza

I dla niej  
przechowujemy  
nasze kosztowności

Czekamy,  
by ktoś nas zabrał  
z pobocza autostrady  
na której  
w końcu  
nikt się  
nie zatrzymuje.

*Przeł. Elżbieta Hurnikowa*

\*Elżbieta Hurnikowa – dr hab.,  
adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej  
WSP w Częstochowie.

# Zabawa w odosobnienie

o najnowszym wyborze wierszy Sławomira Matusza

Nakładem Wydawnictwa Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie ukazał się niedawno dwujęzyczny, polsko-niemiecki zbiór wierszy Sławomira Matusza pt. *Elegia transgeniczna*. Wyboru dokonała Gizela Kurpanik-Malinowska, autorka posłowa tejże książki oraz tłumaczka wierszy Matusza na język niemiecki. Ponadto dwa wiersze, mianowicie tytułową Elegię transgeniczną oraz Latem do Auschwitz przetłumaczył niemiecki poeta, prozaik i eseista, laureat prestiżowych nagród literackich, Kurt Drawert.

Niełatwo jest pisać o autorze, który zajął już trwale miejsce wśród współczesnych twórców, mającym w swoim dorobku literackim wiele publikacji książkowych i prasowych, którego się zna i ceni. Ale mając w ręce *Elegię transgeniczną* warto spróbować.

Sławomir Matusz wydał dotychczas siedem tomików poetyckich, m.in. *Nie podaję nikomu ręki* (1985), *Mistyka zimą* (1990), *Podtrzymanie podniesienie* (1994), *Wakacje* (1995). Jego wiersze tłumaczono już wcześniej na język słoweński i szwedzki. O poezji Matusza pisał obszernie Marian Kisiel w książce *Świadectwa. Znaki. Głosy o poezji najnowszej* oraz Marcin Hałaś w *Requiem dla pokolenia*. Autor *Elegii transgenicznej* nie zajmuje się wyłącznie poezją. Miałam przyjemność czytać jego opowiadania, eseje, teksty krytyczne i recenzje.

W *Elegii transgenicznej* znalazły się w większości wiersze publikowane we wcześniej wymienionych tomach. Część z nich, np. *Zażyżnienie*, *Pogromca Cyganów* czy tytułowa *Elegia...* zaklasyfikowałabym do tzw. twórczości „zaangażowanej”, dręczącej i niepokojącej, głęboko zakorzenionej w rzeczywistości, w „ciężkim

dzisiaj”, „dziwacznym tu i teraz”. Ale nie one należą do tych, które mnie ujęły najbardziej.

Gizela Kurpanik-Malinowska pisze w posłowie o przyczynach prowadzących w poezji Matusza do zrównania podniosłości z trywialnością, humanistycznych rojeń z sarkazmem. Odnajduje je m.in. w obsesji czasu i śmierci, w heroicznym i – już w zarodku – skazanym na porażkę buncie przeciwko granicom ludzkiej kondycji, w świadomości tak trudnego do osiągnięcia wybawienia. Ja dodałabym do tego jeszcze znamienne poczucie wyobcowania, a może zwyczajną, jakże prywatną, ludzką samotność. Sygnalizuje to przewrotnie zatytułowany, pełen gorzkiej ironii, wiersz *Zabawa*, w którym symboliczny „odór” spycha bohatera lirycznego poza margines ludzkiej akceptacji: *Nie wiem – może dlatego, że tak długo / już nie pracuję, z braku poczucia sensu / ruchu – ruch powinien / mieć sens – zacząłem / cuchnąć. Gorzej, by poczuć się / nieco lepiej, spróbowałem / polubić to. Zapraǳnęłem cuchnąć / mocniej i pełniej. Bawić się. Oto tytułowa, masochistyczna i destrukcyjna zabawa – zabawa w odosobnienie, wykluczenie poza nawias.*

Podobnie sytuację wyalienowania, obrazuje wiersz pt. *Ulica Kalinowa 10/41: Na moim nowym miejscu / Nikt do mnie pisze i Nikt / mnie odwiedza*. Personifikowany „Nikt” podkreśla groźę i wymiar samotności, która być może jest granicą obłędu: (...) *Rozmawiam / z nikim, czyli ze sobą*. Powstaje zatem zamknięty krąg – sarkastyczny „Nikt”, ja i jeszcze pies Czort, notabene częsty bohater wierszy Matusza, który wydaje się być jedyną możliwością utrzymania kontaktu ze światem, ponieważ lubi *obwąchiwać ulicę*. Jednak nawet podczas spaceru (...) *świat jawi się (...) jak w panoramicznym / wielkim, niemy*

*kinie, bo prawdziwi ludzie mieszkają / w książkach (...)*.

Są w omawianym tomie utwory poświęcone synowi poety, Barnabie, którego zdjęcie zdobi okładkę książki. Piękny jest wiersz zatytułowany właśnie *Barnaba*. To ciepła, liryczna opowieść o na pozór zwykłym spacerze po lesie, który w wydaniu poety nabiera bajkowego charakteru. Jest to wyjątkowy i jakże inny, od pozostałych z prezentowanego tomu poetyckiego, utwór.

Trudno pominąć jeszcze jeden, przepiękny, krótki tekst. To wręcz miniatura liryczna, bez tytułu, dedykowana tym razem przyjaciółce. Warto zacytować w całości: *Dwa słowa / napisane o przymrozku / na szybko mknącego / pociągu, dwa słowa: / liryka i lód. // Zwykła notatka / a cały wiersz*.

Na koniec nadmienię, że w najnowszym wyborze wierszy Matusza odnajdzie Czytelnik chyba najpopularniejszy, kultowy już prawie utwór pt. *Zbiegły*. Właśnie *Zbiegłemu* poświęcił rozdział swojej książki wspomniany wcześniej Marcin Hałaś. Poza tym *Elegia transgeniczna* obejmuje bardzo różne wiersze, od tych pełnych estetycznej prowokacji, mocno osadzonych w gorzkiej rzeczywistości do obrazów głęboko lirycznych. Każdy wiersz godny jest zastanowienia i osobnej analizy. I dobrze się stało, że zbiór zawiera teksty powstałe w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, bowiem daje obraz szerokiego wachlarza możliwości twórczych autora, swoistego – często nieco wyzywającego stylu, wrażliwości kulturowej, różnorodności tematycznej oraz ciekawego spojrzenia na słowo. Wybór jest interesującym podsumowaniem drogi poetyckiej Sławomira Matusza i próbą uchwycenia tego, co świadczy o oryginalności i istocie jego poezji.

Małgorzata Matera

**Sławomir MATUSZ, *Elegia transgeniczna*, Wydawnictwo WSP Częstochowa 2000/2001.**

# Jan Nepomucen Janowski

## contra Mickiewicz

**O**JANOWSKIM, ZNAKOMITYM POLITYKU i publicyście, współzałożycielu Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w Paryżu 1832 roku, znajdziemy strzępy wiadomości w podręcznikach uniwersyteckich oraz pracach naukowych. Właściwym inicjatorem powstania TDP był Janowski, związany swym urodzeniem z małym przysiółkiem (za jego czasów zaledwie trzy chałupy) obok Konopisk, wsi leżącej kilkanaście kilometrów od Częstochowy. Brał udział w Powstaniu Listopadowym. Nie wierząc w jego powodzenie, przyłączył się do pierwszej fali uchodźców, która przez Niemcy podążała do Francji, gdzie ideały napoleońskie wciąż były żywe. Janowski był synem pańszczyźnianego chłopca. Jako dziecko pasał bydło i czytał masę książek, które mu pożyczał proboszcz z dzisiejszej Blachowni. Bezsprzecznie był chłopcem niezwykle utalentowanym, o bardzo postępowych, jak na ówczesne czasy, poglądach. Toteż nic dziwnego, że – jako samouk – chłonał wiedzę.

W Paryżu, na przełomie roku 1832 i 1833, stał się inicjatorem założenia Towarzystwa Demokratycznego Polskiego przy współpracy T. Krępowieckiego, księdza A. Pułaskiego i innych. W licznych artykułach Janowski atakował i szydził z konserwatywnej polityki Hotelu Lambert oraz mesjanistycznych poglądów Mickiewicza i Towiańskiego. A polemistą był nie byle jakim! Pisał też wiersze. To prawda, iż proste, zrozumiałe, jednakże grafomańskie artystycznie. Powiedzmy od razu, tłumacz księdza Lamennais nie miał zamiaru zostać poetą. Wierszowanie swe traktował jako przedłużenie i dopełnienie walki politycznej:

Posłuchajcie sąsiedzie,  
 Źle się u nas dzieje,  
 Jak się człowiek chował w biedzie,  
 Tak się i zestarzeje.  
 Ale kiedy do zacięgu  
 Wyjdzie w pole z rana,  
 Proстым on wołem w zaprzęgu  
 Jest dla Jaśnie Pana  
 O wołu się jeszcze troszczą  
 Jaśnie Pan i Pani,  
 Lecz chamy niech z głodu poszczą  
 I troszczą się sami...

W wierszach Janowskiego nie znajdziemy prawdziwej poezji, lecz rymowaną publicystykę, żar nie wyobraźni, lecz myśli; gniew, gorycz, sarkazm i oburzenie z powodu tych przejawów życia społecznego w kraju, które zwalczał jako głosiciel postępu i antyklerykał. Bezsprzecznie na poglądy Janowskiego duży wpływ wywarł Lelewel, ale krytyka Kościoła u Janowskiego jest ostrzejsza:

Lud co waszych nauk słucha,  
 Na ciemnotę jest skazany,  
 Tłumicie w nim rozum, ducha,  
 Jakże ma się oswobodzić  
 I starą Polskę odrodzić?

Tylko bardzo wyjątkowo Janowski uprawiał lirykę. Czynił to wtedy, gdy we wspomnieniach zwracał się do miejsc z młodości:

Wspomnę sobie Konopiska,  
 Lasy, łąki i pastwiska.  
 Tam bawiłem się, uczyłem,  
 Tam szczęśliwy tylko byłem,  
 Tam gdzie matka, ojciec stary,  
 Gdzie dzieciństwa cienie – mary.

Znając radykalizm społeczny Janowskiego, nie może zdziwić jego stosunek do Mickiewicza – polityka. Ceniąc wysoko poezję autora „Dziadów”, surowej, czasem zbyt surowej krytyce poddawał jego poglądy na węzłowe zagadnienia epoki i sprawy Polski. Zwalczał kult wieszczki, jego mesjanizm, a potem Towiańskiego, którego uważał za carskiego konfidenta. Gdy Mickiewicz w roku 1855 pośpieszył do Turcji, pisał pod adresem poety w złośliwym wierszyku:

Gdzie twój rozum, rozum zdrowy,  
 O nasz piewco narodowy?

Krytyka wzmogła się, gdy autor „Liryków lozańskich” przystąpił do towianizmu. Wypowiadając się przeciwko rocznicom organizowanym w kraju dla uczczenia Mickiewicza i Goszczyńskiego, nawoływał Janowski:

Tylko czcigodnych czcimy nieboszczyków,  
Nie jezuitów i nie towiańczyków.

W innym utworze, tuż po śmierci Mickiewicza, uznając wielkość poety, wypowiedział swój sprzeciw wobec rodzącego się kultu wieszczka:

Był to wielki poeta, jakich świat ma mało,  
I z tej strony będzie on wieczną Polski chwałą,  
Lecz nie był wcale wieszczem, chyba że  
wieszcz znaczny  
Tego co myśli wstecznie i coraz inaczej...

Zdrowy rozsądek podczęstochowskiego chłopca główne źródło „załamania się” Mickiewicza widział w Towiańskim i jego nauce. Mistrza Andrzeja uważał (zresztą nie on jeden) za rosyjskiego szpiega, dążącego do rozkładu polskiej Emigracji:

Prorok – cudotwórca – prorok,  
Nową nam erę zapowiada co rok,  
Świadczą się bracia bratem Mickiewiczem  
I trzeba przyznać, nie skończył na niczem.  
Narobił dudków... Lecz tym przebaczenia,  
Jeśli w nich znowu jest polskie sumienie,  
Jeśli ich więcej nie łudzi „Biesiada”.  
Carskiemu tylko agentowi biada,  
Niech sam do cara śle memoriały  
Dla większej swojej u ziomeków zakały.

Wiersze, bajki i utwory satyryczne drukował Janowski za życia w różnych czasopiśmie emigracyjnych, m. in. w „Demokracji Polskiej”. Większość jednak pozostała w rękopisach, toteż ta część dorobku pisarskiego założyciela TDP nie była szerzej znana. ■

T.G.

WYMIANA  
MYŚLI KULTURALNYCH  
I O KULTURZE JUŻ WKRÓTCE!  
ZAGLĄDAJ NA STRONY  
SERWISU INTERNETOWEGO „ALEJ  
3”:

<http://www.aleje3.now.pl>

Swoje propozycje na forum  
dyskusyjne można przesyłać na adres:  
[aleje3@emediapro.com.pl](mailto:aleje3@emediapro.com.pl)

## Tadeusz Gierzyński

### Podróż

Zwolniłaś obroty. Wreszcie do siebie. Z oddalenia  
Lże ci oczy wiatr tessalski. Niespokojną  
Burzą napętnia korę mózgu. Słyszę, mówisz  
Głosem tak obcym – Thalatta kai oinos.  
Morze i wino. Żegnaj. Żeglarz płynący do domu  
Wyspę napotyka z językiem głębokiego cienia.  
Odpocznie. Odpocznie pod słońcem gdzie nieczuła alga  
Słoną bryzę na głosy Oceanid zmienia.  
Inaczej jest przy tobie. Opatrunek, gaza,  
Antybiotyk w szyszaku wkracza w bitwę zbrojną.  
Słońce wypełnia korę mózgu. Słyszę, mówisz  
Głosem tak obcym – Thalatta kai oinos.  
Nad morzem wstają mewy. Mają głos różowy  
Jak gardła muszli. Kołują zakosem,  
Nagłym zwiędnięciem skrzydeł, białą metaforą  
Upadają ciężarne jakby snem karmione.  
To niedaleki kraj, znał go podróżny  
Co w neseserze złożył jego wizerunek  
Pachnący mokrym piaskiem i ziarnistą wełną –  
Thalatta, mówił, jest jak trunek.  
Nie wiem, nie byłem tam. Znam coś niecoś z książek.  
Wiem, że był Odys. Może jest Itaka,  
Wyspa o której często pisał,  
Że jest podobna do smutnego pawia,  
lub do barana o srebrzystej sierści  
I że ma dużo z tęsknoty za śmiercią  
I z oddalenia od ciebie. Sam jesteś,  
Piszesz coraz chłodniej. Dojrzałość – smak soli.  
Nożyce chirurga jak blachę tną niebo.  
Twoja gwiazda się chwieje. Byłeś zbyt zuchwały.  
Idziemy do teatru. Podają Szekspira.  
Na kolorowej tacy w śniegu i tłustej zieleni  
Tańczy baśń w letniej nocy. Aksamitny chrabąszcz  
Buczy w lesie ardeńskim. Człowiek, miłość, łowy –  
Lekki ciężar ważymy na oczach. Cóż znaczny  
Ta ulotność chwili i dźwięku i światła.  
To wszystko co w tej chwili do ręki się garnie  
Łagodne i zaśnięte? Jak los skalpel chirurga  
Odprysnął od ciała. Życia nie ma. Słyszysz –  
To wiatr podróżny. Mewy krzyczą biało.

**C**ORAZ REALNIEJSZE STAJE SIĘ ZNISZCZENIE rodzaju ludzkiego przez grupę (wcale nie musi być liczna) szaleńców. „Wiek złoty” – byłże taki? – nieliczna ludność, jej rozproszenie, prymitywne narzędzia zabijania: kamienie, kije, łuki, potem miecze i noże uniemożliwiały wymordowanie całej rasy ludzkiej. Dzisiaj to niebezpieczeństwo jest prawdopodobne przy założeniu, że postęp moralny to utopia.

\* \* \*

Im goręcej kochamy samych siebie, tym krąg naszego widzenia i rozumienia życia staje się coraz marniejszy. Owa automiłość przekształca się w autodestrukcję, z której zupełnie nie zdajemy sobie sprawy. Co więc robić? Należałoby, jeśli potrafimy, szukać w sobie źródeł Nilu i na tym poszukiwaniu całkowicie skoncentrować swoją uwagę. Zewnętrzność może nas tylko uratować, żebyśmy nie stali się suchym owocem orzecha w twardej skorupie.

\* \* \*

Dzieci w parku (te mniejsze, z mamusiami) zbierają kasztany i żołądź. Potem w domu będą robiły z nich ludziki, zwierzątka. Wystarczy dodać do tego trochę zapalek. Mama z kilkuletnią dziewczynką wypatrują w zawiei liści, żółtych jak zamrożony miód, brązowych owoców z jasną plamą pośrodku. Ale są już prawie wyzbierane po nocnej wichurze, a teraz w powietrzu absolutny spokój, gałęzie drzew znieruchomiały. Późnojesienna cisza. Niewiele różna od cmentarnej. Spacerując alejkami dochodzę do dziecka z mamą (akurat w ulubionym przeze mnie wieku, bo między drugim a czwartym rokiem życia). Wyciągam rękę z dwoma kasztanami. Dziewczynka patrzy na opiekunkę, która uśmiecha się aprobująco, więc bierze świeże, błyszczące owoce. „Dziękuję panu” – mówi i ucieka pod skrzydła mamy. Ma dwa dołki na policzkach, żółty płaszczyk, czerwoną chusteczkę na główce i dwa jasne kucyki. Przypominam sobie trzy moje wnuczki w tym najrozkoszniejszym wieku. Zbierały nad fiordem duże, kolorowe muszle. A ja czuwałem, żeby nie spadły do ciemnej, aż fioletowej wody. Nad nami wysoka, bazaltowa ściana, a nad tą ścianą świstał i koziołkował Boreasz.

\* \* \*

Sztuki nie trzeba (nie można) rozumieć do reszty. I właśnie ta R e s z t a jest najważniejsza.

\* \* \*

Rocznica Norwidowska. Kiedyś w szkole uczono mnie, że autor „W Weronie” był ostatnim romantykiem. Bzdura! Norwid w swym „Vade – mecum” odciął się od ideologii romantyzmu i od kształtu romantycznego wiersza. Udowodnił, że można pisać inaczej niż autorzy „Ballad i romansów” oraz „Kordiana”. Poeta nie zalecał układania rymów wciąż o cierpieniach i zrywach wolnościowych Polaków, lecz chciał zwrócić uwagę na społeczeństwo i codzienną jego pracę.

Wytyczył również nowe tory dla poezji: zwięzłość, przemilczenia, operowanie ironią, refleksją (do czego potrzebna aktywność intelektualna czytelnika), a nie samym nastrojem. Pozytywistycznym natomiast dydaktyzmem. Z romantyzmu pozostała mu chrześcijańska wizja rozwoju cywilizowanego społeczeństwa. Był w istocie realistą, patrzył w przyszłość, propagując w pisarstwie nowatorski styl.

\* \* \*

Pierwszy dzień Novembra. Który już raz jestem przy tej leśnej mogile nieznanego partyzanta? Siedząc na pniu sosny konfabuluje jego krótki życiorys z tragicznym końcem. Mógłbym, gdybym umiał, napisać powieść. Pogoda pod psem. Mży deszczyk, moczy mi łagodnie twarz, lecz wyżej, wśród gałęzi duje wiatr. Znowu trudności z zapaleniem znicza. Ale tym razem kupiłem go z osłoną. Nie wystarczy. Patykiem grzebię w mogile i tam wstawiam lampkę. Płomyk przestaje się miotać na wszystkie strony. Strzela równo w kierunku zachmurzonego nieba. Wokół żadnej żywej istoty. Nawet moja wścibska wiewiórka gdzieś się skryła. Z kilku brzoź, zabłąkanych w tym sosnowym lesie, spadają żółte listeczki. Jedyny żywszy kolor w dookolonej mokrej szarości. Odmawiam głośną i krótką modlitwą, jaką znam na pamięć. Odchodzę oglądając się za siebie raz, drugi.

\* \* \*

Oto cudowna zmienność natury. Słońce jak znudzona pomarańcza w ten późnojesienny dzień stoczyło się za horyzont. Atmosferyczny cień niczym ciemne kocisko biegnie miękko ze wschodu na zachód. Nieliczne, wysoko zawieszane obłoczki stają się różowe jak puszek, jakim kobiety pudrują brzydkie i ładne twarze. Cień jak kominiarki na twarzach zbrodnicych typów i ów oranż na brzegach znieruchomiałych, czekających na sen obłoków stanowią cu-

downe zjawisko! Wysoko nad nami kolorowe zagle nadziei, a w dole beznadzieja.

\* \* \*

Siada przy mnie człowiek, jeszcze młody, na oko trzydziestolatek. „Ma Pan ogień” – zapytuje. Zaczyna się rozmowa, chociaż z początku nie jestem z jego towarzystwa na parkowej ławce zadowolony. Wolę obecność drzew, nawet bezliśnych. Okazuje się, że to jeden z poszukiwaczy przygód, prawdy, sensu życia i Bóg wie czego jeszcze. Obok rower i mnóstwo pakunków. Dziwię się, jak z takim bagażem można pedałowac? Lecz to jeszcze dla mnie młodzian o muskularnej budowie. Wraca z Grecji do Szczecina. Dużo gada – słucham. Z drzew spadają ostatnie liście, szafranowe, suche.

Ludzie w istocie, w swym sednie, tacy sami, mają tylko różną powierzchnię. Jestem po trzech latach historii sztuki, studiów nie ukończyłem... A gdyby, to co bym robił? W najlepszym razie siedział w muzeum jak w pudełku zapalek? To nie dla mnie. Wolę włóczęgę, zmianę i dorywczą pracę. Jestem przelotnym żurawiem; dziś tu, jutro tam. Oglądam różne kraje, innych ludzi, morza, krajobrazy. Byłem w Nepalu przed czterema laty, nie mówiąc już o Europie. Nepal, teraz tam targowisko mistycznej błazenady, szukania tego, czego nie ma, kłajstrowania podziurawionej duszy. Niektórzy rzeczywiście rozmawiają z łysymi, pomarańczowymi mnichami, większość jednak bierze i chleje. Są też pozytywy, które przeżyłem. Tam czujesz jak dmucha Bóg, wiatr, Czas i Historia. Słuchaj Pan, jazda w Nepalu na rowerze – niemożliwa. A teraz cześć, Panie starszy!

Błyskawicznie przymocował do roweru bagaż, założył plecak, odjechał w dół, ku Alejom. Zdążył jeszcze krzyknąć: „A w tłumie serce mieli tylko złodzieje!” Masz ci babo placek. Nie rozumiem do dziś o co mu chodziło. A może to jakiś mało rozumny, mówiąc delikatnie, człowiek? Szpanował, przyjechał np. z Wielunia na Jasną Górę i tam odjechał. Mogłem wierzyć jego historii lub nie. Jak zwykle stanąłem pośrodku. Może tak, może nie. Dmuchał wiaterek obsypując klonowymi liśćmi ławkę i mnie.

\* \* \*

Coraz mniej przyjaciół. W okresie komunizmu było ich dużo więcej i więcej serdeczności. Dlaczego? Byliśmy młodszy, mniej stetryczali. Wrogość do systemu totalitarnego też nas łączyła. Po roku 1989 drogi nasze się rozeszły. Część rzuciła się jak zgłodniałe psy na kielbasę (władza, pie-

niadz), reszta ze swoją utopią pozostała w tyle. Przyjaźnie, zdawałoby się aż do grobowej deski, rozluźniły się, pomarły. Życiowo silni oportuniści rozbiegli się po korytarzach władzy i biurach biznesu. A przyjaźń przeszła w znajomość. Niekiedy nawet w nieznajomość. Jedynie dwóm, trzem osobom gazowana woda oraz ważność nie uderzyły do głowy.

\* \* \*

Zostaniesz więc bez jakiegokolwiek pomocy. Czym się w swym postanowieniu kierujesz? Determinizmem, fatalizmem czy dumą, która nie pozwala podnieść z ziemi rękawiczki, co akurat wpadła w jesienną, błotnistą kałużę. Rękawiczka to głupstwo. Tuszę, iż tonąca nie przyjęłaby podanej ci dłoni. A może już od dawna leżysz na dnie jeziora, na płaszczu złotego piasku. Piasek, przezroczysta woda, toteż nie ma nenufarów, współczesna Ofelio! Twoja „duma” – dziecinna, naiwna, lecz piękna. Wiesz, że tak musi być i żadna serdeczna okoliczność tego nie zmieni. Kubuś Fatalista mawiał, że los człowieka zapisano a priori w Górze. Więc jestem bezradny. I nic z mojej chęci przyniesienia ci ulgi znarkotyzowania bólu i cierpienia! Jesteś jak perła szczelnie otorbiona muszlą. Uchyl nieco jej ostre krawędzie, usłyszysz kojącą muzykę wody i mój głos, odległy o milion słońc. Ponieważ tak chcesz.



\* \* \*

Tuż po wojnie krakowski poeta i powieściopisarz (Jalu Kurek) i antyfeminista chyba, zanotował taką egzystencjalną myśl: „Człowiek w so-

bie jest zawsze sam, choćby spał z najpiękniejszą kobietą". Można ten koncept pociągnąć dalej i powiedzieć, że kobieta jest zawsze samotna, kiedy nie ma nadziei na mężczyznę. Zasadnicza różnica między płciami? Żartowniś jestem.

\* \* \*

Często przyjaźń przekształca się w miłość. A miłość w przyjaźń. Doświadczyłem tego drugiego obrotu sytuacji. Ale pod przymusem...

\* \* \*

Wczoraj na skraju Lasku Aniołowskiego zobaczyłem sikorkę, tę z niebieskim brzuszkiem. Może przyleciała na zimę z Norwegii, może była karmiona przez Julię kawałkiem słoniny zawieszoną na gałęzi jakiegoś krzewu w ogródku? Tyle rzeczy kojarzy się mi z kochaną dziewczyną!

\* \* \*

Rano, dopiero się rozjaśnia. Jak zwykle idę pospacerować po osiedlu. Dzisiaj 11 listopada, święto państwowe, ponadpartyjne. Wielka rocznica odzyskania niepodległości po 123 latach niewoli. Przecież gdyby nie I wojna światowa, Wersal i polska krew, do dziś połowa Polaków musiała by w miejscach publicznych, w urzędach mówić po rosyjsku, a druga po niemiecku. O tej powszechnej wojnie marzył Mickiewicz i o nią modlono się we wszystkich kościołach kraju. Sybir, Cytadela, więzienia w Niemczech, gdzie więziono i tracono naszych rodaków.

Spaceruję więc między blokami dzielnicy Północ i popatruję na balkony. Nigdzie narodowej flagi. Na którymś z balkonów wiszą kalesony i damska bielizna. Biała, symbol poddania się życiu bez historii, bez narodowej tradycji. W jakiej dzielnicy ja mieszkam, wśród jakich ludzi?! Strach pomyśleć...

\* \* \*

Elegancka kawiarnia, wszędzie żywe kwiaty, miękkie fotele, sofy i – przewiercający mnie smutek. Tym gorszy, że bezprzedmiotowy. W takiej sytuacji nie pomoże nic, chyba że wysadzenie dnia w powietrze razem ze mną. Śliczność, rokokowość tego miejsca jeszcze bardziej podsyca bezczelność (wobec mnie) istnienia. Lokalik ponadto cały w czerwieni, co mnie denerwuje, przygnębia. Po diabła wszystko na czerwono! Nawet kwiatek na stoliku w kolorze piekielnego ognia! A może to te niżej, wyżej, przekłete fronty? Chyba pamiętam (wariactwo!) jak mi było nieskończenie z łona matki!

\* \* \*

Biorę do ręki zapalną, przyglądam się uważnie. Ma czarną główkę (siarka?), 4,5 centymetra długości, kwadratowy kształt. Niekiedy jej zapłonowe zakończenie bywa zielone. Pocieram o ciemnobrązowy bok pudełka. Jaka chemiczna zasada zapalenia? Tlen, węgiel? Nie wiem, nie chce mi się sięgnąć do encyklopedii. Kolejny grzech wobec małego realizmu. Okazuje się, iż przy próbie opisanego tak prostej rzeczy jestem zupełnym dyletantem, agnostykiem. W życiu na takie drobiazgi nie zwracam zupełnie uwagi, wydają się oczywiste i mają dla nas sens tylko praktyczny.

Ale wróćmy do płomyka, jaki powstaje z lekkim sykiem. Tuż przy drewniku nie widać ognia, jakby była tu pusta przestrzeń. I to pierwsze dygotanie, trwające ułamek sekundy, potem spokojne, ustabilizowane spalanie. Płomyk pełnie do palców. Dmucha, żeby się nie sparzyć. Biały dymek. Zapalka czerwienieje w konwulsji, zmienia kształt, kurczy się, faluje, wykrzywia. Jej czubek teraz nie różni się barwą od całego drewnika. Trzymam delikatnie zwichrowany pręcik w dwóch palcach. Rozcieram go, kruszy się. Czarne drobiny spadają na stół. Mam trochę zaczernione opuszki palców. Ale to już popiół.

Najciekawszy jednak ogienek zapalki. Taki niewinny przy zapaleniu np. papierosa, gazu. W pewnych jednakże okolicznościach może zdecydować o śmierci człowieka. Pierwszy sztucznie wykrzesany płomyk, przy pomocy dwóch kamieni, zmienił historię pracźlowieka...

\* \* \*

Pierwszy śnieg. Radość dla dzieci. Ale tej zimy będzie okrutnie wiele dziewczynek z zapalkami. O jednej z nich opowiedział Andersen.

\* \* \*

Piszę po pierwszym zwycięstwie Adama Małysz. W radiu, telewizji, prasie wciąż o nim. Piosenki o nim, reklamy (jak zwykle głupawe) z nim. Cały naród z nim rozmawia, płacze ze szczęścia. Pomniki mu stawia ze śniegu i trwalszych materiałów. Bohater narodowy, heros. I ja mu życzę mistrzostwa świata. Ale... Ale, wydaje mi się, że media i bez mała całe społeczeństwo może zrobić z normalnego, skromnego człowieka maniaka i cudaka, bo psychika sportowca może nie wytrzymać takiego ciśnienia ludzi, co wpadli w narodowy amok.

Sport to piękne i zdrowe zajęcie, a dla kibiców też nie mała radość, gdy ich idol triumfuje. Chciałbym jednak wiedzieć, ilu z wielbicieli Adama wie, kim był Aldous Huxley czy choćby nasz Jan Potocki. ■



# Mysikrólik i sarna

(fragment)

*Krystian Piwowarski*

Powieść tą publikuje w odcinkach  
on-line Wydawnictwo „e media”  
na stronie [www.read.now.pl](http://www.read.now.pl)

Rita w różowym trykocie zastała Małgosię na kozetce pogrążoną w rozmyślaniach. Usiadła obok. Milczały chwilę.

– Im się zdaje, że problem się kończy, kiedy zapną spodnie.

– Komu?

– Wiecznym bohaterom. – Rita objęła ramieniem Małgosię. Miała duże, ciepłe ciało, brzydkie, bez talii, o bladej cerze, którą tak trudno opalić i nie wyglądać przy tym, jakby się w ogóle nie miało skóry. – Wiecznym szczęściarzem w rodzaju Aquariusza. Wiecznym dupkiem w rodzaju Skoczka. Wiecznym zdobywcą w rodzaju Zdobniaka. A teraz chodź, zapomina się o wszystkim, kiedy rozciągasz sprężyny i zalewa cię pot. Przynajmniej masz poczucie siły i wiesz, że możesz im porządnie przyłożyć.

Małgosia milczała. Filozofia Rity nie była jej tak zupełnie obca.

– Jesteś piękna – powiedziała Rita. Widać było, jak wiele musiało ją kosztować to wyznanie. Małgosia stanowczo nabierała coraz więcej sympatii do tej brzydkiej, dużej kobiety o atletycznej posturze i po trosze zrobiło się jej wstyd, że jest zdecydowanie ładniejsza.

– W życiu tak jest, że brzydkie dziewczyny szukają ładnych koleżanek, a kiedy je znajdują, są gotowe do poświęceń w zamian za odrobinę miłości.

Małgosia pokiwała głową.

– Jesteś piękna – powtórzyła Rita głosem łamiącym się z zachwytu. Małgosia znowu się zarumieniła. Rita położyła dłoń na jej piersi i lekko ugniotła.

– Masz zdumiewająco twarde piersi dziewczycy.

Małgosia spojrzała na wielką dłoń Rity na swojej piersi.

– I fantastyczna pupę! – dodała Rita szczerząc końskie zęby.

– O, nie! – Małgosia jęknęła zmieszana i oburzona. Była zawiedziona. – O, nie! I wszystko po to, żeby mi to powiedzieć?

– Co? – dłoń Rity na piersi Małgosi znieruchomiła. Twardy sutek nadal sterczał wypychając materiał trykotu niemal jak dowód nieszczerości protestu Małgosi.

– Jesteś zboczona!

– Jestem. Trochę. Jak każdy.

– A ja nie. I nic z tego nie będzie – Małgosia zdjęła dłoń Rity. Wstała.

– Nazywano mnie Języczkiem – powiedziała Rita słabym głosem.

– Kto? A zresztą, czy to ważne? – Małgosia wzruszyła ramieniem.

– Musiałam wysłuchiwać babskich sekretów. Ty też miałaś sekrety i zwierzałaś się z nich jakiejś brzyduli z podwórka – poskarżyła się Rita.

Rzeczywiście, Małgosia miała taką koleżankę, Franję. Mówiła jej o zakłóceniach periodu i wątpliwościach co do sensu posiadania błony. Małgosia jakoś automatycznie pomyślała o tak oczywistym problemie, jak podły los kobiet. Kobiety nigdy nie mogą się naprawdę, szczerze, do głębi znienawidzić. Zawsze tkwi w nich utajone, wzajemne współczucie właściwe tej samej płci.

– Czy to ważne? – powtórzyła rozdrażniona.

– Jeśli się było Języczkiem, to tak – stwierdziła Rita. Na Małgosię spojrzała para błyszczących oczu w kolorze rozwodnionego wywaru z pokrzyw. Małgosia twardo milczała. Nawet jeśli współczuje Ricie, nie będzie ciągnąć tej rozmowy. To jedna z rozmów, które do niczego nie prowadzą i są pozbawione sensu. Nie można się po nich spodziewać niczego dobrego.

– Nie jesteś ciekawa, co oznaczało być Języczkiem?

– Domyślam się.

– No więc ja nim byłam – westchnęła Rita.

– Boże, jaka głupia rozmowa! – krzyknęła Małgosia. Rita wstała z kozetki i w dwóch wielkich susach znalazła się przy niej.

– Nie odtrącaj mnie! – wychrypiąta kładąc obie dłonie na piersiach Małgosi. Drzwi garderoby otworzyły się z impetem. Stał w nich żywy, drgający, wymazany oliwą supeł na pałkowatych, ogromnych nogach, odziany w imitację kostiumu gladiatora, z ręcznikiem przewieszonym przez byczy kark. Na plecy sphywały barokowe kaskady jasnych, wytlenionych włosów. Jego oczy osadzone były tak blisko siebie jak dziurki w bardzo małym guziku. Rozrosłe mięśnie boczne, zwane motylkami, nie pozwalały na

swobodnie opuszczenie ramion, więc ów monstrualny osobnik wyglądał jak wojskowy transportowiec kołujący na start.

Supeł obrzucił Ritę i Małgosię spojrzeniem bez wyrazu.

– Nie umiesz pukać, cyborgu?! – krzyknęła Rita.

– Jestem Zygfyrd – olbrzym zwrócił się do Małgosi. – Mów na mnie Zyga. Mam rzeźbić twoje ciało, ale widzę, że ktoś już się za to zabrał...

– Nie twój zasrany interes – odparła Rita. Oderwała się od Małgosi.

– Uważaj na tę wielką babę. To podstępna pajęczyca – Zyga ostrzegł Małgosię. Posłał Ricie pogardliwy uśmiech.

– A jakby tobie przylepić krowie rogi do tego durnego łba, to wyglądałbyś jak wredny germański bóg. Jak u Wagnera. Brakuje mu tylko dzidy. Nie uważasz? – Rita zwróciła się do Małgosi. Małgosia wzruszyła ramieniem.

Siłownia była ogromnym, żółtym plastrem miodu podzielonym na równe sześciokąty, mające zresztą ścisły związek z mistycyzmem Aquariususa. W każdym sześciokącie stały przedziwne, lśniące niklem i chromem, urządzenia i niemal w każdą z tych konstrukcji wplecione było spoczone, dyszące, charczące ludzkie ciało. Wszędzie unosił się zapach świeżego potu i antyperspirantów. Małgosi zdawało się, że dostrzegła w jednej z tych machin Mariana Kutka, ale mogła się mylić.

– To jest przyrząd ogólnorozwojowy – wyjaśniła Rita wskazując na połączenie roweru z kajakiem i wyciągiem budowlanym. – Najpierw przejdiesz cykl siedmiu seansów na tym, a później skoncentrujemy się na poszczególnych partiach mięśni. Zyga będzie twoim osobistym instruktorem. Zwracaj się do niego krótkimi zdaniami, bo inaczej cię nie zrozumie.

Zyga nic sobie nie robił z gadania Rity. Uśmiechnął się do Małgosi odsłaniając wilcze zęby. Wiedział, że zrobił na Małgosi wrażenie. Był czuły na punkcie swojego wyglądu. Poświęcał mu wiele czasu, każdą wolną chwilę. W zasadzie całe życie Zygi składało się z takich wolnych chwil. Nie miał na przykład nic przeciwko zagranii w filmie.

– Czy to producent? – zapytał Ritę.

– Kto? – Rita nie rozumiała.

– Facet, o którym nawijasz. Ten Wagner, czy jakoś tak.

– Wagner?

– No?

– Nie, Zyga. Wagner już nie żyje.

Zyga nacisnął jakieś dźwignie, przyrząd ogólnorozwojowy zachrząścił i rozsunał stalowe ramiona. Zyga delikatnie usadził Małgosię na skórzanej ławeczce wewnątrz przyrządu i położył jej dłonie na uchwytych.

– Ciągnij w dół.

Małgosia zrobiła to z wielkim trudem.

– Co ty powiesz, Kluska? Może miałbym do kolesia interes, a tu nagle nie żyje? Mówiłem? – zwrócił się do Małgosi. – Ma przez Aquariususa kontakty w branży filmowej, ale nic ci nie załatwi. Nic. – Zmniejszył ciężar na wyciągu. – No? Spróbuj teraz.

Małgosia pociągnęła. Wymieniła spojrzenia z Ritą. Rita pokiwała głową, jakby chciała powiedzieć: „a nie mówiłam?”

– A kiedy to niby kipnął? – Zyga wyprostował się na całą swoją wysokość.

– Wczoraj – odparła Rita. – Przyleciał, żeby się zobaczyć z matką. Wzruszył się i zmarł.

– To pech.

– Szukał facetów do roli Władcy Skalnej Groty.

– Koleś z branży s-f?

Rita skinęła głową. Zyga łatwo godził się z losem. Poza tym nie był aż tak naiwny, żeby uwierzyć, że Wagner umarł, bo się wzruszył na widok matki.

– Bier się do roboty, Zyga – zakomenderowała Rita. – Ona ma za miękką pupę. Zrób z tym coś.

– Jej pupa jest pełna cukierków, to widać – odparł Zyga.

– Czego? – spytała Rita.

– Słodkości – wyjaśnił Zyga. – Już ty dobrze wiesz, czego – dodał.

Rita zmierzyła go zimnym wzrokiem.

– Nieważne, czy jest pełna ... słodkości, czy nie. Musi poruszać się sprężystiej, żwawiej, bardziej po męsku. Nie jesteś infantką hiszpańską, moja droga. Musisz wyglądać na nowoczesną dziewczynę, dzielną towarzyszkę mężczyzny, taką, co się zna na samochodach, umie się bić, a nie na sentymentalną piczkę, którą wszystko przeżęca.

– Nie musisz jej obrażać – stwierdził Zyga obojętnie – a coś mi się widzi, że ją obrażasz.

– Jesteśmy przyjaciółkami, macho. Ja jej nigdy nie wyeksploatuję, tak jak ty, gdybyś mógł.

– Nie mam zamiaru tego robić, Rita – Zyga był zdziwiony.

– Ale gdybyś miał zamiar, to byś zrobił. Znam cię, potrójny facecie.

Zyga uśmiechnął się chytrze.

– Myślisz Kluska, że uwierzyłem w te bzdety, że Wagner przyjechał szukać u nas chłopaka

ków, jak może mieć ruskich pakerów za ćwierć ceny? Widzisz? – zwrócił się do Małgosi – nigdy nie powie prawdy. Mówiłem, że to pajęczycza. Tka swoją sieć i ani się obejrzy, jak w nią wpadniesz, a wtedy cię wyssa...

– Wyssie – poprawiła Małgosię machinalnie.

– A gdzie to twój piękniś? Tęsknię za nim! – Obok przyrządu, jak spod ziemi, wyrósł Marian Kutek w obcisłym czarno-czerwonym trykociku z głębokim dekoltem.

– O kim mowa? – zapytał Zyga.

– Nie znasz. To jej facet – Kutek pokazał na Małgosię.

– No właśnie! – Zyga zdenerwował się. – Jakbyś mnie poznał ze wszystkimi ciotkami, które ubierasz i rozbierasz, to od dawna grałbym w filmie!

– „Człowieka-cysterne” już nakręcili, Zyga. Nie wiem, co innego mógłbyś zagrać?

Kutek spojrział na Małgosię.

– Ciagle jesteś smutna. Co on ci takiego zrobił?

– Nic, o czym warto gadać w takim gronie – odparła za Małgosię Rita. – Spadaj, Kutek.

– Bestia jest zazdrosna? – Kutek roześmiał się.

– Uwważaj na nią, piękna – ostrzegł Małgosię. Odszedł, delikatnie stawiając stopy w zwiewnej zapowiedzi uwodzicielskiego, tanecznego pas.

– To pewne, że twój facet z nim nie kręci? – zapytał Zyga Małgosię. Małgosię zwiesiła głowę w pełnym bezradności geście. Wreszcie rzekła:

– Niczego już nie jestem pewna.

Zyga spojrział tęsknym wzrokiem za Kutiem, którego biodra intensywnie falowały.

– Człowiek nieba by mu przychylił... – wyciągnął palec w stronę Małgosi. – Powiedz temu swojemu, żeby się odpieprzył od Kuta, bo mu rozszarpie dupę!

Małgosię wygramoliła się z przyrządu i ruszyła do wyjścia.

– A spotkanie z Aquariusem? – Rita złapała ją za ramię.

– Jeśli jest podobny do was, to mam to gdzieś – odparła Małgosię.

– Zyga to dureń. Po co się zaraz obrażać?

– Wypchaj się.

– Oni nas naprawdę eksploatują.

– Kto?

– Faceci.

Małgosię otworzyła usta, żeby coś powiedzieć. Rozmyśliła się jednak.

## POWIEŚĆ MYŚLIWSKA

Z BÓLEM PLECÓW I ZAŁZAWIONYMI O CZAMI oderwałem się od lektury najnowszej książki Krystiana Piwowarskiego (także redaktora naczelnego „Alei 3”) pt. „Mysikrólik i sarna”. Stało się tak ponieważ musiałem ją czytać na ekranie komputera. Krystian nie mogąc znaleźć odpowiedniego wydawcy postanowił opublikować ją w internecie i w ten nowoczesny sposób zdobywać czytelników. Jest to sytuacja normalna w USA, w Polsce jeszcze niewielu autorów sięga po to medium. Są to kroki pionierskie, w Częstochowie najprawdopodobniej pierwsze.

Nie będę się rozwodził nad wyższością książki w formie tradycyjnej nad netową, bo tak naprawdę nie nośnik jest najważniejszy. Zaręczam, że książka internetowa składa się tak samo z liter, wyrazów i zdań, jak i ta, „papierowa”.

Piwowarski ma już na swoim koncie kilka powieści (ostatnia to „Paryżanin”). Ma też w zanadrzu kilka nieopublikowanych. A szkoda, bo potrafi dobrze pisać. Na pewno nie jest to arcydzieło, ale solidne rzemiosło na wysokim poziomie. „Mysikrólik...” to historia współczesna rozgrywająca się w wielkomiejskim środowisku nowobogackich. Jest to ostra i zjadliwa satyra. Niemiłosiernie ośmieszona, groteskowe postacie, płaczą się wśród dzieciaków gagów, które pokazane na ekranie obszłyby się bez sitcomów. Czytając książkę parskalem śmiechem, bo jak inaczej reagować na fanclub Flascha Milaca, właściciela największego penisa na świecie, czy sektę Patryjarchów z dworca PKP w Zielonej Górze. Piwowarski naśmiewa się z lekko już zużytych rekwizytów nowoczesności: Mc Donalda, przebieranych Batmanów, giełdy, łóżek wodnych, siłowni, ochroniarzy, żigolaków, lesbijek, bułgarskich prostytutek, rosyjskich mafiozów itp. Obraz świata, który pokazuje tak naprawdę nie pokrywa się z rzeczywistością, jest raczej jego karykaturą, podobnie jak tandetne polskie komedie są mocno przesterowane społecznie. „Mysikrólik...” doskonale prezentowałby się w wersji filmowej (np. Pazura w roli tytułowego Mysikrólika).

Interesująco zbudowane są główne postacie – Jaś i Małgosię, niedoszli nowożeńcy. Klasyczna historia – panna młoda ucieka sprzed ołtarza, by potem wałęsać się w zwariowanych środowiskach show biznesu. Chłopak szuka jej po całej Polsce, doświadczając nieprawdopodobnych



przygód. Poszukiwania zmieniają ich – on staje się niebezpiecznym macho, ona w światku projektantów mody zyskuje miano femme fatale. Podróż jest faktycznie motorem rozwoju fabuły, ale nie jest to powieść drogi – raczej powiastka wolteriańska. Oboje są bowiem tylko obiektem zabawy podrywacza (prawie demiurga akcji), który kończy najgorzej. Jak w ludowej baśni – za winy musi być kara. Wybór imion nie jest przypadkowy. Inżynier Zdobniak – intrygant i lekkoduch, umiera na AIDS. To okrutne zakończenie tłumacząc sobie zamiłowaniem autora do estetyki baroku, z jego marnością świata i przesadnością stylistyczną. Świat zdegenerowanych i rozhisteryzowanych bogaczy zostaje odrzucony przez bohaterów. Skłócenie z rodzicami, środowiskiem, wyrzucenie z pracy wybierają własną drogę, lecz niestety rozbijają się na pierwszym słupie. Czeski film. Krystianowi udało się zakoń-

czyć historię pewnym status quo. Po wielu wiracjach akcji cudem w finale nie ma tragedii totalnej (poza zasłużoną tragedią Zdobniaka).

Przedstawiony świat jest może trochę zepsuty, ordynarny, ociekający spermą, chłostany pejcem. Ludzie to zwykłe potwory, a Jaś jest radosnym głupkiem, który najchętniej gra w gry komputerowe i uprawia seks w samochodzie. Godny podziwu jest pietyzm, z jakim autor odmalował te dziwaczne postacie i sprawy, którymi one żyją. Chwałę jego warsztat, choć momentami wszystko jest za bardzo dopowiedziane i empirycznie wytłumaczone. Seks i jego pochodne są bardzo istotnym elementem książki. Zwolennicy naturalistycznych opisów scen erotycznych będą zadowoleni.

Dlaczego powieść „myśliwska”? Otóż wszyscy w niej na wszystkich polują. W skali pięciogwiazdkowej dają cztery, bo dobrze się czyta. ■

*Sławomir Burszewski*



fot. Grzegorz Smykala. Scena ze spektaklu Teatru Realistycznego pt. „Trylogia drobiowa”

# BAJKI O PÓŁ-LUDZIACH

*Sławomir Burszewski*

## ZNACHOR

Pan Znachor żył za miastem, z dala od ludzi, na skraju uroczyska i czarciego jaru. By do niego dojść, trzeba było pokonać mroczne bagniska i ruchome piaski, pokonać hordę wilków i ominąć liczne zmijowiska. Od dawien dawna ludzie z osady szli do niego, nie bacząc na te przeciwności i niebezpieczeństwa, gdyż tylko on jeden w okolicy potrafił uzdrowić wszelakie sprzęty domowe. Nieśli do niego elektryczne dzbanki, chłodziarki, pralki, odkurzacze i zamrażarki. Jak tylko jakiś mikser począł kasłać i kichać, to gospodarz pakował go w tobołek i podążał krętą dróżką do samotnej chaty w lesie. Do miejskiego medyka nie mieli zaufania, bo ten ino pił i przekupny był. Wszystko na kury i gęsi przelizał, a pomoc w chorobie nijak nie umiał.

Znachor to co innego. Zawsze tak zręcznie okłady porobił, takich dobrał ziół i naparów, takich uwarzył maści, że nawet najbardziej zdezelowany robot kuchenny jeszcze sporo jajek mógł natrzepać. Robił to nie całkiem legalnie, bo proboszcz z burmistrzem intercyzę mu nałożyli i od bram miasta dawno wygnali za sze-

rzenie czarnoksięstwa. Ale i tak wszyscy wiedzieli, kaj się udać.

Razu pewnego ciężki przytrafił się mu przypadek. Pralkę przynieśli z nadzartym rdzą silnikiem. Właściwie to już ledwie maszyna dychała. W tym stanie zioła i mikstury nie mogły jej pomóc. Pan Znachor zdecydował się na ostateczne rozwiązanie. Zaproponował klientowi transplantację silnika z innej maszyny, ale ponieważ w okolicy nie było odpowiedniego dawcy, zdecydował się pobrać organ z lodówki po wypadku. Wiele miał takich w szopie. Operacja się udała, śrubki pasowały, nie było odrzutu. Lecz po powrocie do chaty, włodarze ze zdumieniem spostrzegli, że pralka miast prać, poczęła mrozić bieliznę na lód. A jak tu w skrzypiącej sukmanie po dworze chadzać? Rozczarowani chłopci zgłosili sprawę do policmajstra i sędziego. Znachor przez tydzień miał wielu gości w mundurach. Uleczył im darmo zegarki, binokle i pukawki. Ci potraktowali go łagodnie i nałożyli mu tylko podatek od usług i karę za działanie w szarej, leśnej strefie. Po zalegalizowaniu działalności firma „Znachor sp. z o.o.” przynosiła znaczne dochody, a jej właściciel wyjechał na pierwsze kanikuły do Saracenów na wczasowisko. Dobrze chłopu wreszcie było! ■



Władysław Szczepański, „Zamek” | 1996. węgiel.

## ANTOLOGIA

O tym projekcie wszyscy już dawno chyba zapomnieli. Powrócił jednak po latach jak bumerang. Władysław Piekarski (kiedyś red. naczelny „Galerii”) znalazł w końcu wydawcę dla



„Poetyckiej Częstochowy (wraz z okolicami) Przełomu Wieków” i wkrótce powinien się ukazać pierwszy tom z pięciu przewidywanych. Początkowo wybór miał obejmować twórców Województwa Częstochowskiego, lecz z przyczyn ogólnie znanych nazwa musiała być zmieniona. Janusz Orlikowski pisze we wstępie: „Twórcę antologii interesuje stan dokonania poetyckich autorów, którzy z Częstochową byli bądź są związani. Jest więc to zbiór o dwóch charakterystycznych rysach: historycznym i czasowym. Tym niemniej nie obejmuje on takich nazwisk jak Halina Poświatowska bądź Władysław Sebyła, bowiem jest poetyckim przedstawieniem przełomu wieków (tj. przedziału lat 1980-2001)”. Autorzy subiektywnie podsumowują poprzednie wydawnictwa tego typu w Częstochowie, krytycznie podchodzą do dorobku niektórych poetów, nie negują przy tym dokonania twórców spoza kręgu ZLP. Pierwszy tom obejmuje hasła A-K (m.in. Gierymski, Gaiński, Frania, Grzegorzewska, Kasprzyk.) Na ponad trzystu stronach zawarto obszerny wybór wierszy autorstwa omawianych poetów. Plusem wydania jest papier kredowy, minusem – fatalna, tekturowa okładka z odzysku. Książka ma pewien walor historyczno-literacki, bowiem nie

wszystkich autorów środowisko (to młodsze) pamięta, i pokazuje pewien obraz częstochowskiego świata poetyckiego ostatniego ćwierćwiecza, który nazwałbym „światem po Poświatowskiej”. Czy uda się pomysł dociągnąć do końca i nagłośnić w kraju? Edycja ukazuje się wyłącznie w języku polskim i firmowana jest przez „Częstochowską Biblioteczkę Poetów i Prozaików”. Wydawcą jest „Dom Książki”.

## ZMIASZA

### JUBILEUSZE

Na przełomie listopada i grudnia swoje jubileusze świętowały dwie częstochowskie placówki kulturalne, sąsiadujące ze sobą przez ulicę. 16 XI pięciolecie obchodził Empik, sklep który organizuje m.in. spotkania z gwiazdami muzyki rozrywkowej połączone z podpisywaniem płyt. Ów pochmurny piątek „zakłócały” happeningi „Teatru from Poland” pt. „Spotkanie z poezją – Wstęp wzbroniony”. Aktorzy ku zgrozie przechodniów recytowali wiersze polskich poetów w strojach i pozach sadosochistycznych, co przy niskiej temperaturze było nie lada wyczynem. Wieczorem na fanów hip-hopu czekało spotkanie z najpopularniejszą grupą w tym roku – „Paktofoniką”. Imprezę zakończono w pubie „Beczka”, gdzie prezentowały się „Teatr Realistyczny” ze Skierniewic w szokującej sztuce „Trylogia drobiowa”, kabaret „Cudo-ziemcy” w programie „Ultra Firio Pultro Parto” oraz Anka Biernacka w monodramie „O człowieku”.

Nieco bardziej uroczystą oprawę nadało swojemu dziesięcioleciu OPK „Gaude Mater” – patron spotkań literackich, teatralnych, imprez jazzowych (i nie tylko), wernisaży plastycznych (wielu kojarzy tę instytucję

z wigilijnym opłatkiem artystów). Pracownicy OPK i ich goście spędzili rocznicowy dzień w filharmonii na koncercie muzyki W.A. Mozarta. Obu instytucjom życzymy kolejnych okrągłych x-latek.

### KONKURSY I NAGRODY

Częstochowscy poeci nie są w najlepszej formie. Na ostatnim, jubileuszowym, XXV Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Haliny Poświatowskiej nikt z naszych nie zdobył żadnej nagrody. Honor uratowała nasza redakcyjna koleżanka Wioletta Grzegorzewska, która w Turnieju Jednego Wiersza zdobyła wyróżnienie za wiersz „Rondo złych snów”. Pierwszą nagrodę otrzymał Piotr Macierzyński z Łodzi, drugą Małgorzata Stachowiak z Sulechowa, trzecią Monika Wieczorkowska z Torunia. Może to i lepiej, bo przynajmniej nie padają zarzuty pod adresem szacownego jury o faworyzowanie miejscowych wierszopisów. Przyjemną niespodziankę sprawił Andrzej Kalinin, który otrzymał nagrodę literacką NSZZ Solidarność za ostatnią książkę „W cieniu złych drzew”. Górą proza!

### CDS

„CDS” to skrót od „ciąg dalszy”, a także nazwa częstochowskiej grupy hip-hopowej, w skład której wchodzi Pietia, Murzyn i Dud. Trzech dwudziestolatków działa od roku 1998 i jak dotąd wydali demówkę pt. „Oczekuj nieoczekiwanego” oraz wzięli udział w składance „SC 034”. Ich najbardziej znany przebój to „Moment”, często grany na koncertach w „Filutku” i „Wakansie”. W przygotowaniu mają materiał na nową płytę. Śpiewają o ludzkich uczuciach, wydarzeniach bez zbędnego patosu, choć i niezbyt dosłownie. Stać ich na pewną metaforę, z czego są dumni, bo to ich różni od pospolitego rapu. W tekstach

starają się przekazać głównie siebie i swój punkt widzenia, który często jest zbieżny ze spojrzeniem odbiorcy – rówieśnika na sali. Żaden z nich nie gra na żadnym instrumencie – wszyscy deklamują, a podkład muzyczny przygotowują im didżeje. Pietia deklaruje, że lubi łagodną muzykę, a nie znosi heavy metalu, rocka i disco polo. (To duża odmiana w gustach młodzieży alternatywnej.) Ceni muzykę z Zachodniego Wybrzeża USA, polski i francuski hip-hop, jazz. Fascynuje się

koszykówką i ligą NBA, sam gra czynnie w turniejach „dzikich” drużyn. Nie wiąże jednak sportu z muzyką. Podoba mu się Częstochowa, chociaż wielu na nią narzeka, ale tu się wychował i uważa ją za jedno z najlepszych miast. W Częstochowie ta czarna muzyka dobrze się rozwija, powstaje sporo płyt, lecz żeby się przebić, trzeba dużo, dużo ćwiczyć. Czy oni coś osiągną – pokaże przyszłość. Jak sama nazwa grupy mówi – wszystko ma dalszy ciąg, ciągle coś idzie dalej. (SB)

## SPROSTOWANIE

Redakcja „Alej 3” przeprasza Państwa Grzegorzewskich za niefortunne sformułowania zawarte w artykule „Wiola i Szymon” w poprzednim numerze. Nadmieniamy, że nasze intencje były czytte.



Rys. Arkadiusz Zajac: „Luna”, 2001, technika mieszana

# O potrzebie prywatności i nowoczesnych wynalazkach

Ludmiła Marjańska

W Muzeum Literatury wieczór poświęcony Zbigniewowi Herbertowi.

JESZCZE JEDEN ŻYCIORYS MOJEGO POKOLENIA. Młodość Herberta, o dziesięć miesięcy młodszego ode mnie, urodzonego na wschodzie Polski, we Lwowie, różniła się od mojej młodości, spędzonej na zachodnim krańcu Polski, w Częstochowie, odległej od ówczesnej granicy z Niemcami zaledwie o jakieś trzydzieści kilometrów. A jednak, na tych dwóch krańcach okupowanego kraju, podobnie kończyliśmy potajemnie szkołę średnią i zdawaliśmy maturę, podobnie należeliśmy do podziemnych organizacji. Uczyliśmy się polskości i konspiracji, od naszych ojców pobieraliśmy nauki uczciwego życia, z książek czerpaliśmy wiedzę o świecie i sprawiedliwości.

Wracałam z tego spotkania na Starym Mieście przepełniona wrażeniami i wspomnieniami. Czekając na autobus patrzyłam na przeciwległy pomnik Powstańców Warszawy i myślałam także o kilku młodych poetach, którzy zginęli w tamtym czasie.

Nadjechał autobus, usiadłam, zanurzona w innym czasie, w innym życiu. Na kolejnym przystanku z zamyślenia wyrwały mnie głośne, a jednostronne zwierzenia dotyczące jakiegoś projektu, jego kosztów i ewentualnych zarobków. Tuż nad moją głową fruwały astronomiczne dla mnie sumy:

– Słuchaj – mówił głos, – jak to jest? 30 procent? Iiile? Co? 108 tysięcy?

Słuchawka komórki podała widać sumę, która nie zadowoliła jej właściciela.

– No dobra, a te 70 procent to dla kogo? Co? A za co? Na pensje???

Dłuższa pauza. Oglądałam się, wcale nie dyskretnie. Młody człowiek, stojący tuż za mną, nie widzi mnie w ogóle, wpatrzony najwidoczniej w tych krwiopiczów, którzy chcą mu zabrać 70 procent z „jego” spodziewanych pieniędzy. Nic poza tym nie istnieje: ani ja, ani poeci polegli w Powstaniu, ani twórczość Herberta, nawet autobus sunący ulicą Miodową przestaje istnieć. – Na jakie pensje? Ja nie mam żadnej pensji. To co, ja mam ich utrzymywać?

Wraz z oburzeniem wzrasta ton głosu. Mam dość. Odwracam się ponownie:

– Proszę pana, naprawdę nie obchodzą mnie pana zarobki ani procent, jaki pan otrzymuje. Zechce pan wreszcie mówić ciszej.

O dziwo, oprócz głosu z komórki, coś do niego dotarło! Zniża głos i odchodzi na koniec autobusu. Starszy pan siedzący w pobliżu uśmiecha się z zadowoleniem. Łagodny szum mijających i wyprzedzających nas pojazdów zmienia się w kojącą melodię, na chwilę przerywa ją tylko wycie syreny ambulansu. Ale nie wraca już Herberta i moja wojenna przeszłość. Próbuję skupić się na planowanej książce, którą chcę przygotować do druku. Nie mogę. Zastanawiam się, od jakiej sumy 30 procent wynosi 108 tysięcy i ile książek musiałabym wydać lub przetłumaczyć, żeby tyle zarobić? I na czyje pensje poszłyby część moich zarobków? Na redaktora, korektora, czy dyrektora wydawnictwa?

Na szczęście docieram do końca mojej podróży w krainie liczb, w czasie i w rzeczywistości. Idę do domu, gdzie panuje wieczorna cisza i rozmyślam o straszliwych wynalazkach niweczących prywatność, umożliwiających schwytanie właściciela piekielnej komórki „na każdym miejscu i o każdej dobie”, a także narażających współpasażerów na wysłuchiwanie zarówno szczegółów cudzych transakcji jak i miłosnych wyznań. O piękna tajemniczo zaklejonych kopert i dyskretnych skrzynek pocztowych! O cudowne oczekiwanie na list, odczytywany w domowym zaciszu! O tajemniczo umowy wydawniczej, pozwalającej w skupieniu przeliczyć należności i sumy potrącone na podatki!

Tak, wiem, że telefon komórkowy uratował alpinistę zasypanego lawiną, grotolaza przypadkowo odciętego od liny, podróżnika zagubionego w dżungli cudzych spraw, wyrwana z własnych przemyśleń, wspomnień i marzeń, protestuję przeciw ingerencji świata w moje osobiste i najbardziej prywatne wnętrza. I jestem pewna, że Zbigniew Herbert także podpisałby się pod tym protestem. ■

6 września 2001 r.



# AKWAMARYN

Janusz Orlikowski

**G**dyby dziś ktoś zaproponował mi wykonywanie profesji instruktora teatralnego, z pewnością bym odmówił. To nienasycony pochłaniacz czasu. Przede wszystkim powtarzalność granego tematu, a twórcza świadomość warunkuje już nowe, zatrzymuje, zmusza do obecności w innym miejscu niż ma się na to ochotę. Poza tym, równolegle, konieczność ciągłych prób, wyjazdów, gdy się jest z rodziną, to nie sprzyja. Jedyny plus to publiczność, zawsze o wiele większa niż na wieczorach autorskich. Pozostało doświadczenie przygody krótkiej, epizod w życiu, któremu warto, sądzę, dać nieco odżyć, nie pozwolić tak całkiem iść w zapomnienie.

W roku 1988 w Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Dobrodzieniu założyłem amatorski Teatr Poezji Akwamaryn. Chciałem, tak bardzo chciałem tego dokonać, że torpedowałem wszelkie przeszkody, które stały, bądź też chciałyby stanąć mi na przeszkodzie, zniweczyć lub choćby opóźnić moje zamierzenie. Chyba nie całkiem świadomie, ale chodziło mi o sławę, o uwielbienie przez publiczność.

Był to początek mojej drogi twórczej. Fatalnie na tzw. małej poligrafii wydany niewielki arkusz z wierszami „Monolog niepokorny”, „kilka druków w prasie typu „Rolnik Polski”, „Gazeta Częstochowska” oraz wiersz „Parafraza-Kama” zaprezentowany w „Życiu Literackim”. Teatr musiał wydawać mi się dobrym polem do szerszego przedstawienia własnych możliwości, tyle że nie poetyckich sensu stricto, ale aktorskich, piosenkarskich, bo z własnej twórczości w spektaklu „Posłanie do Nadwrażliwych” w opracowanym scenariuszu na podstawie wierszy filozofa i poety, duchowego opiekuna artystów prof. Kazimierza Dąbrowskiego, fińskiej poetki Arij Tianem, Wiesława Kazaneckiego, Edwarda Stachury, Urszuli Kozioł, poetyckich tekstów „Mirka” i „Adama” - pacjentów zakładu psychiatrycznego, znalazły się tylko trzy piosenki mojego autorstwa, notabene nie pisane specjalnie dla potrzeb „Posłania do Nadwrażliwych”. Poza tym prze-

tworzyłem na formę wiersza fragmenty artykułu Barbary Marii Bartosiewicz „Być twórczym czy szczęśliwym”; dla lepszego wnikięcia w problematykę przedstawienia pozwolę sobie zaprezentować słowa otwierające spektakl:

„Ci  
niedostosowani  
wrażliwi  
i z powodu wrażliwości  
wystawieni pod pręgierz  
wyobcowani nadzy przerażeni  
wpadają w popłoch lub agresję  
milczą lub krzyczą  
głośniej niż inni”

Artykuł ukazał się w numerze 11/1985 nie istniejącego już miesięcznika „Poezja”, podobnie tekst autorki „Artysta czy wariat?” ze znamienym mottem „Człowiek broniąc się przed piekłem w sobie odcina się także od nieba wewnątrz”. Tam też znalazły się dwa istotne dla powstania scenariusza eseje Bohdana Drozdowskiego „Człowiek który rozumiał poetów (w piątą rocznicę śmierci profesora Kazimierza Dąbrowskiego)” i Barbary Błasińskiej-Harasymowicz „Refleksje na temat twórczości i jednostek twórczych w ujęciu Kazimierza Dąbrowskiego” oraz jego wiersze ze sławnym „Posłaniem do Psycho-neurotyków”, którego też tu fragment:

„Bądźcie pozdrowieni, Nadwrażliwi  
za waszą czułość i nieczułości świata,  
za niepewność wśród jego pewności  
za to, że odczuwacie innych tak jak siebie  
samyh  
zarażając się każdym  
bólem  
za lęk przed światem, jego ślepa pewnością,  
która  
nie ma dna  
za potrzebę oczyszczenia rąk z niewidzialnego  
nawet  
brudu ziemi  
bądźcie pozdrowieni.”

Przywdziewając kamizelki reżysera, scenarzysty i scenografa miałem wizję przedstawienia, które udało mi się zrealizować.

Przyciemnione, białe światło tak żeby tylko widoczne były postacie i rekwizyty. Cztery, jakby opuszczone, odosobnione stanowiska twórczej pracy malarza, rzeźbiarza, literata i muzyka. A więc sztaluga z napoczętym obrazem, rzeźba (kłoda drzewa na drabiniastych metalowych wielkich kołach, na środku kłody gliniana czaszka), stół z rozrzuconymi na nim i poza zapisa-

nymi kartkami, pianino wystarczająco stare, żeby widać było, iż dotknął je czas, jakieś porozrzucone kartki z nutami. Na przodzie sceny z jej lewej strony widowni, palące się łuczywa, obraz żywego, mocnego ognia, którego światło działa się pomiędzy sceną a widownią stanowiące swego rodzaju chorągiew. Przy każdym stanowisku postać niby zajęta pracą. Poza tym jeszcze dwie: narratora rozpoczynającego przedstawienie cytowanym wcześniej fragmentem tekstu powstałym z fragmentów wypowiedzi „Być twórczym



Fot. Jacek Kamiński

czy być szczęśliwym?" i ja z gitarą i słowami piosenek sumujących poszczególne, nieformalne części spektaklu.

Tematem „Posłania do Nadwrażliwych” najogólniej było przedstawienie jednej z dwóch w gruncie rzeczy dróg kształtowania się psychiki twórcy. Tej bardziej dramatycznej, wiodącej ku całkowitej dezintegracji psychicznej. Od buntu ujętego w formę miłosnego niespełnienia, w atmosferze całkowitej powagi, bez ironii, satyry, parodii, czy drwiny (zbawczych w takich sytuacjach) do stanu właściwego tylko zakładom psychiatrycznym. Bezwarunkowy sprzeciw, zderzenie ze ścianą świata jednostki i jej beznadziejną z nią nie tyle walką, ile bezwarunkowa niemożliwość adaptacji warunków, które niesie rzeczywistość to główna treść przedstawienia. Tragiczny koniec wieńczą słowa prof. Kazimierza Dąbrowskiego:

„Bądźcie pozdrowieni, Nadwrażliwi  
za waszą twórczość i ekstazę  
za wasze zachłanne przyjaźnie, miłości i lęk  
że miłość mogłaby umrzeć jeszcze przed wami”

Spektaklowi towarzyszyła muzyka Vangelisa z płyty „Apokalipsa zwierząt”, której następujące po sobie barwy ku apokaliptycznej atmosferze wiodące doskonale się dopasowała, stanowiła dopełnienie postępującej dezintegracji jednostki twórczej.

W postaci „dezintegrowane” wcieliły się uczennice czwartej klasy Liceum Rolniczego w Gosławicach k/Dobrodzienia: Dorota Rudek, Ewa Skawicka, Sabina Kosel, Regina Marks i Beata Żelazny. Szczególnie dla nich nie było to łatwe, przeistoczyć się z osoby tzw. normalnej, jaką może być twórca, w czasie ledwie godziny w istotę ludzką zupełnie oddzieloną od świata tak, aby widoczne było to dla odbiorcy.

Na próbach byłem okrutny. Chętny powtarzać kwestie niezliczoną ilość razy, by było tak, jak w mojej spektaklu wizji. Wyczulony na gest i brzmienie słowa, wiedząc że te niuanse są zwłaszcza w teatrze poezji szczególnie istotne, a szczególnie w „Posłaniu...”, doprowadzałem do wiecznych zgrzytów i niechęci, by na powrót budować zamierzone. Tylko dzięki determinacji, która przeszczepiona zawsze buduje, nikt nie zrezygnował, bo przecież miał takie prawo. W którymś momencie prawie półrocznych prób dziewczyny zaczęły nazywać mnie „maestro” i to bez ironii. Wtedy poczułem że chciały, tak bardzo jak i ja. Staralem się być i według mnie by-

łem, perfekcjonistą. Trudno mi dziś powiedzieć na ile mi się to udało. Nie odnajduję miary.

Z I miejscem na Przeglądzie Kabaretów i Teatrów w Ławie związana jest anegdota. Zza sceny usłyszeliśmy rozpoczynającą spektakl muzykę z płyty „Apokalipsa zwierząt” Vangelisa, tyle że puszczoną od tyłu. Taśma z nagraniem wydawała dźwięki nie od początku ku końcowi, lecz odwrotnie. To było możliwe w magnetofonach tzw. szpulowych. Usłyszeliśmy zgrzyty dźwięków, denerwujący jazgot. Był problem, wyjść na scenę, czy też nie. Chcąc wystąpić nie mieliśmy wyjścia. Można było tylko zrezygnować, spowodować zamieszanie. Zdecydowałem, że wychodzimy. Pomyślałem: spektakl wariacki (czytaj tragiczny), więc może nas nie wygwizdzą. I stało się, od tyłu puszczonego podkład muzyczny jury potraktowało jako właściwy. Odebraliśmy pierwszą nagrodę. Przypomina mi się powiedzenie: z tytułem wariata jak z tytułem szlacheckim, nikt ci go nie odbierze.

Druga historia jest jeszcze bardziej zabawna. Dotyczy ognia. Nie wiem jak to jest dzisiaj, ale w latach 1988-89 był zakaz używania żywego ognia na scenie, inaczej potrzebny był za sceną strażak. Mieliśmy wystąpić na XIV Ogólnopolskich Konfrontacjach Poetyckich im. H. Poświatowskiej w Teatrze Dramatycznym im. A. Mickiewicza w Częstochowie. Problemem były żywo skrzące się pochodnie na przodzie sceny. Spektakl tak, ale pochodnie nie, usłyszałem. Warunek, aby można było wystąpić. Żadnego żywego ognia na scenie. Żał mi go było, stanowił ważny rekwizyt. Mówił o chęci kontaktu dezintegrowanego twórcy z publicznością, o ucieczce ze świata całkowitego odosobnienia. Zamiast więc skrzących się jasnym światłem pomiędzy sceną a publicznością łuczyw przysłano nam jedną świecę na pięcioramiennej gwiazdzie świecznika, który stał na stoliku. Błędym światłem niech się on tam tli, powiedziałem jako argument i było to z mojej strony bardzo duże ustępstwo, gdy za sceną przed spektaklem usiadł strażak. Co pan tu robi, spytałem. Pilnuję żywego ognia, odpowiedział. Takie są przepisy, dopowiadając. Wybuchnąłem śmiechem: jedna, ledwie tłąca się świeczka, jeden strażak.

Dziś całą scenę i całą publiczność mógłbym oświetlić moimi łuczycami, nikogo to nie interesuje, nikogo to nie obchodzi. Coś się stało takiego, że wrażliwym jednostkom władze pozwalają żyć. Niech sobie żyją, na zdrowie.■

*Tekst artykułu wydrukowano w oryginale.*

# Żołnierze na mojej ulicy...

wspomnienia

Krystyna Brzózka

JAROSŁAW AMBRAMOW NEWERLY NAPISAŁ „Lwy mojego podwórka”. Autor, mój równoległy, zapamiętał zdarzenia i postacie związane z miejscem, gdzie mieszkał. Ja nie spotkałam „lwów”, ale może jednak warto coś zapisać z pamięci, którą sięgam najdalej jak mogę.

Nieistniejący dziś domek należał do gospodarza, p. Belofa, drukarza. Z córką, p. Cesią i synem Mieczkiem zajmowali nową część domu – dwa pokoje z kuchnią i korytarz. Rodzice i ja żyliśmy w starym domu, w jednoizbowym mieszkaniu. Drugie takie samo pomieszczenie oddzielone ścianką zajmowały dwie siostry ze swoimi dziećmi i matką staruszką. Mówiło się o niej Koziumka. Najciekawsze wydarzenia jakie pamiętam z najdalszej przeszłości to powroty żołnierzy z 27 Pułku Piechoty po letnich manewrach do koszar przy ul. Dąbrowskiego. Przechodzili naszą ulicą Dembińskiego, a my – dzieci – albo towarzyszyliśmy im idąc obok, albo patrzyliśmy na nich z wysokich słupków w płocie, na których mimo ich wysokości nieźle się nam siedziało. Ja, Janek, Zbyszek i jeszcze chyba dwóch chłopców stanowiliśmy wtedy paczkę. Druga dziewczyna – Tereska, przychodziła do babci, a naszej sąsiadki. Była spokojna. Po drzewach i płotach się nie wdrapywała. Wszyscy znaleźliśmy piosenki wojskowe i pomagaliśmy żołnierzom śpiewać: „Przybyli ułani pod okienko...” lub „Wojenko, wojenko”. Tę szczególnie lubiłam, chociaż „27”-ka to nie ułani, a konie pamiętam tylko ciągnące kuchnię. Z taką właśnie polską, wojskową kuchnią polową jest związane pewne wydarzenie w moim życiu. Przypominam sobie coś, co nazywało się Świętem Pułku. Wtedy żołnierze nie poszli na mszę do kościoła św. Jakuba, jak w każdą niedzielę. Uroczystość odbywała się na placu apelowym pułku. Przy ołtarzu polowym celebrowano nabożeństwo. Oprócz żołnierzy i oficerów pułkowych brali w nim udział cywile. Oczywiście były rodziny wojskowych, ale także osoby nie związane z jednostką. Nie wiem, czy rozdawano zaproszenia, czy rzecz działa się na zasadach dobrosąsiedztwa, w każdym razie moja rodzina

wzięła udział w tej uroczystości. Mama miała na sobie swoją najpiękniejszą (moim zdaniem) granatową suknię w lśniące granatowe grochy, do tego w takim samym kolorze kapelusik i pantofle. Ja byłam wystrojona w suknię białą z czerwonymi gwiazdkami i aksamitnym paskiem. Strasznie byłam z niej dumna. Po oficjalnej części uroczystości żołnierze, chyba kucharze, częstowali grochówką z wspomnianej kuchni polowej. Jej smaku nie pamiętam, wiem natomiast, że łuski grochowe mi nie smakowały. Doskonale pamiętam ile się musiałam nabiedzić, żeby w miarę elegancko pozbyć się ich z ust.

W moim świecie, osoby nie mającej jeszcze siedmiu lat, miał nastąpić przełom – szkoła. To wielkie słowo, ale miłe. Przecież czytać umiałam. Jak to było? Tata był szewcem. Przy oknie podzielonym na cztery niezbyt duże szybki miał swój warsztat. Stolik, półka, stołek, skrzynka z narzędziami. Stołek specjalny, gdzie siedzenie stanowi kawał dość grubej, lśniącej skóry. Z jakichś powodów – nie pamiętam – kiedyś ją nacięłam, pewnie chcąc sprawdzić jaka jest. Została szpara, która rozszerzyła się pod ciężarem taty i utworzyła otwór, w który można było włożyć rękę, w każdym razie moją i łatwo go przesunąć. Skrzynka – to był ciekawy świat. Młotek, ale inny niż te, które są w każdym domu, cęgi, szydło, raszpla, ambus, sztuper, wosk, szpilki oczywiście drewniane, dratwa, pocięgiel i jeszcze inne cuda, które interesowały małą dziewczynkę. Dało się z nich ułożyć różne rzeczy i ciekawie się nimi bawić. Wieczorem skrzynka okryta kocem zamieniała się w kanapę, na której siadała mama i przy świetle karbidowej lampki głośno czytała książki. „Ja też mamę chcę czytać” – oczywiście bajki – i nie wiadomo kiedy podmieniłam ją. Jak tata wytrzymał te moje czytanki nie wiem, ale zachęcał pochwałami.

W drugiej połowie sierpnia poszliśmy z mamą zapisać mnie do szkoły. W „2” przy ul. Dąbrowskiego siedziała p. Kierowniczką i spytała: „Chcesz chodzić do szkoły?” Z metryki wynikało że ukończyłam sześć i pół roku. „Tak” – odpowiadam, a pani na to „Masz jeszcze czas, skończysz siedem lat

to przyjdź”. Wymieniają z mamą uwagi o niepewnych czasach, a ja się wiercę. Kiedy panie skończyły rozmowę doszłam do głosu. Trząśł mi się nieco: „Proszę pani... Ja umiem czytać. Chcę tylko nauczyć się pisać, no i oczywiście trochę piosenek i wierszyków, bo do ochronki nigdy nie chodziłam”. Pani roześmiała się: „No jeśli chodzi tylko o pisanie, to będziesz uczennicą”. Wpisała moje nazwisko. Jejku, jaka byłam szczęśliwa. Kilka miesięcy później (nie pamiętam daty) panią Kierowniczkę aresztowało w szkole gestapo. Panowie w skórzanym, czarnym płaszczach przeprowadzili ją przez naszą klasę i słuch o niej zaginął. W każdym razie dla nas – uczniów.

Najważniejsze było przed nami. Radia nie mieliśmy. Tata w sierpniu często chodził pod okna gospodarzy, słuchał dzienników i komunikatów, a potem dyskutował z p. Florianem. Nas – dzieci jakoś to nie dotyczyło. Było słonecznie, ciepło i w ogóle cudownie. Tymczasem nastał piątek 1 września 1939 r. Mama wietrzyła pościel. Pamiętam trzepak zawieszony poduszkami i kołdrami. Nagle, zupełnie niespodziewanie pojawił się samolot z „hakenkrojcami” na skrzydłach (tak mówiliśmy o swastyce) i już wiadomo było, że jest wojna. Gospodarze wcześniej wyjechali, część sąsiadów z innych podwórek również. Ci, którzy pozostali wpadli w panikę. Uciekać, bo nas wybiją do nogi. No i uciekali. Kiedy Anglia i Francja nam pomogą – wrócimy. Tobołki, tłumoczki, wózki, w ostateczności własne nogi i uciekać, uciekać w stronę mostu kacapskiego, by minąć tory, bo będą bombardowane i dalej w drogę na wschód. Mama spakowała tobołek z odzieżą, drugi z pościelą, jakieś jedzenie do torby. Leki, kropelki, bandaże poszły do koszyczka od święconki i pod moją opiekę. Kobiety – mama i ja ruszyły naprzód, mężczyzna za nami. Szłyśmy powoli. Uciekinierów coraz więcej. Mama płacze, ja pochlipuję, ale idziemy. Nagle jakaś ręka (okazało się taty) zatrzymała nas. „Heła, ja nigdzie nie idę i ty wracaj. Mają nas zabić, to na progu naszego domu”. Mama przerażona. Jak to? Wszyscy uciekli tylko my mamy zostać? Tak. I zostaliśmy. Potem się okazało jako jedyni w okolicy, dlatego że jak tata zarzucał na plecy jeden tobołek, to drugi mu spadał i tak na zmianę. Nie było możliwości zabrać dwóch. Po wejściu Niemców sąsiedzi powoli wracali. Przeżyli wiele, szczególnie w okolicach św. Anny, gdzie lotnicy niemieccy urządzili sobie ostre strzelanie do cywilów wymieszanych z jakimś polskim oddziałem. Sąsiadki pogubiły się ze swoją mamą, która odnalazła się dopiero w październiku. Ale w międzyczasie był poniedziałek, zwany później krwawym. Właśnie wtedy Nie-

mcy, chyba profilaktycznie, rozstrzelali grupę mieszkańców. Na ulicach cisza – mało ludzi, brak samochodów, w ogóle zresztą wszelkich pojazdów – strach. Późnym popołudniem siedzieliśmy w ogrodzie u sąsiadów Glińskich obok wejścia do schronu – rów w ziemi z podstemplowanym drewnem sufitem i wyrównanym od góry ziemią, żeby żaden wróg go nie wypatrzył. Wtedy usłyszeliśmy terkot karabinu maszynowego, jakieś jęki, zawodzenia, krzyki ludzi. Były to odgłosy egzekucji od budynku wodociągów do schodów Katedry. Tu skazańcy, tam narzędzia zbrodni. Zaczęła się okupacja.

Trwa wojna. Co prawda daleko od nas. Chociaż jest okupacja, dla nas – dzieci niewiele się zmieniło. Dorośli jeszcze wyglądają pomocy od zachodnich sojuszników. Tymczasem naszą ulicą znów przechodzą oddziały wojska. Teraz im nie towarzyszymy, nie pomagamy śpiewać, chociaż ciągle powtarzające się piosenki typu „haj li, haj lu, haj la” już znamy. Szkoła, komplety, zabawy na podwórku. Obok naszego domu pojawiła się sterta kamieni. Myślę, że to jakiś dom zmieniony w cegły i kamienie po zderzeniu z bombą lub pociskiem artyleryjskim. Wszystko to ułożone, pięknie oczyszczone przez dorosłych nam – dzieciom służy jako forteca. Trwają wieczne wojny oczywiście między Polakami i Niemcami, których roli nikt nie chce objąć. Rzucamy pociskami – okruchy cegieł, małe kamienie, kule uformowane z błota i wysuszone. I wtedy stało się. Nie wiem, czy „pocisk” był za duży, czy rzut nieszczęśliwy w każdym razie po którejś salwie Janek padł na kamienną placówkę. Ochłonieliśmy wszyscy. Z głowy Janka ciekła najprawdziwsza krew, zalewając mu czoło i oczy. Pognałam do domu z krzykiem: „Mamo zabiłam Janka”. Nie było aż tak źle. Po zeszcyciu skóry powyżej czoła została szrama. Zaprezentował mi ją jako dorosły mężczyzna na zabawie, kiedy po latach niewiedzenia nie poznałam go.

Zaczęła się szkoła. Co prawda dokładnie nie pamiętam, kiedy to było, ale myślę, że w październiku. Zgodnie z moimi przewidywaniami uczyłam się pisać, śpiewać i recytować. Kiedy inni czytali miałam wolne. Nic dziwnego, że nie byłam taka grzeczna jak wypada być w szkole. Okupanci odrzucili wszystkie książki, szczególnie do języka polskiego. Z następnych klas pamiętam pisemko czarno-białe „Ster”, które było podobne do kiepskiej odbitki ksero. Oczywiście o literaturze, jej luminarzach, historii, geografii kraju ojczystego ani mru mru. Polski przecież nie ma. To co jest nazywa się Generalna Gubernia. Oczywiście jak to dziś mówimy – Polak potrafi. To prawda. Wtedy też potrafił. W V i VI klasie chodziłam na komplety. Była to

prawdziwa szkoła chociaż bez zeszytów i zadań domowych. Przychodziło kilkunastu uczniów, p. Krawczyńska prowadziła zajęcia, a dozorca lub inny zaprzyjaźniony dorosły pilnował, żeby nikt niewtajemniczony o tym się nie dowiedział. W razie „wsypy” nauczyciel kończył życie w obozie lub rozstrzelany pod ścianą, a uczniowie, szczególnie starsi, na robotach w „faterlandzie”.

Budynek szkoły ma wiele sal i nowym władcom przydaje się jak żaden inny. Na początek wyrzucano nas z gmachu „dwójki” do „Nauki i Pracy”. Przecież licea przestały istnieć. Potem uczyliśmy się w prywatnym domu przy ul. Dąbrowskiego 10, a następnie w baraku z dwoma salami przy ulicy św. Barbary. Później i to nam zabrali. Szkoła mieściła się w jednej sali domu parafialnego św. Barbary. Wtedy byłam już uczennicą klasy V, więc przepisałam się tym razem sama do szkoły nr 14, mieszczącej się dużo bliżej domu. Pamiętam pewne sceny z późnojesiennych i zimowych dni. Ulice oczywiście nie były oświetlone. Ponieważ lekcje kończyły się po zmroku, a cała szkoła to trzy izby, uczniowie wymyślili oświetlenie drogi powrotnej. Na dno słoika przyklejało się niezbyt wysoką świeczkę. Miejsce wieczka okręcało się sznurkiem, z którego również robiło się dość długi uchwyt. Po ostatnim dzwonku nauczyciel zapalał te latarnie – i do domu. Wyglądaliśmy jak krasnale z baśni zdążające do nierzeczywistej pracy. Ale było nam widno.

Znów jest jesień. Szwagier mamy, czyli wujek Wacek pracuje. Ma własną gisernię, czyli odlewnię żeliwa. Nie wiem co się tam wytwarza, ale jest to groźne. Gorąco, czerwono i przepędzają człowieka z kąta w kąt: „Odejdź, bo będzie kłopot”. Nie ma tam po co chodzić, lepiej zostać w mieszkaniu, albo na podwórku. Ciocia ma pod dostatkiem jedzenia i zawsze mnie częstuje. Są nawet słodczyce i owoce. Do domu wracam najedzona. Niestety, u nas bieda wygląda z każdego kąta. Mama źle się czuje, zemdlała. Tata zły, warczy, jest nieprzyjemny. To bieda, ale wtedy tego nie rozumiałam. Tata pożyczył rower i pojechał w swoje rodzinne strony, w okolice Jędrzejowa. Myślał, że krewni, którzy tam mieszkają poratują w biedzie. Nie wiem, czy nie mieli, czy nie chcieli się podzielić. Pamiętam, że kiedy umordowany pojawił się z powrotem na podwórku i wyjął woreczek mąki, trochę cebuli i fasoli oraz worek ziemniaków, mama się rozplakała. Na otarcie łez był jeszcze kawałek słoniny. Wreszcie jest praca u szewca w Blachowni. Nim tata załatwił przepustkę, przechodził przez „zieloną granicę”. Potem jeździł pociągiem. W Gnaszynie była granica Generalnej Gubernii, więc przepustka musiała być – „ordnung ist ordnung”. Kiedy tata reperował buty, często zda-

rzały się oberwania czy pęknięcia przyszwycy przy podszwie. Wtedy należało część buta spruć, przyłożyć łąkę, przyszyć i but był jak nowy. Jeśli pęknięcie było nisko, czasem łąki nie było prawie widać. Oczywiście wszystkie te czynności wykonywał tata. Nie mógł tylko przyszyć łąki. Do tego była potrzebna specjalna maszyna – leworamienna. Dlatego właśnie z łąkami chodziło się do innego szewca. Był to Żyd. Nie pamiętam jak się nazywał, mieszkał przy ulicy Katedralnej za zakładem kąpielowym braci Kremskich. Ten człowiek też reperował buty. Miał kilkoro drobnych dzieci. Z jednym z chłopców wymienialiśmy obrazki. Ja kompletowałam świat zwierząt – on postaci z historii Polski. W blaszanych pudełkach po kawie lub herbacie były umieszczane obrazki do kolekcji. Dowcip polegał na skompletowaniu tematycznym i to był powód wymiany. Naród panów, a właściwie jego przywódca, wymyślił getto dla Żydów. Katedralna weszła w jego skład. Teraz droga do maszyny i jej właściciela była utrudniona. Nieco głębiej, od ul. Piłsudskiego stały zasieki z drutu kolczastego na drewnianych kozłach. Obok stała budka strażnicza. Jeszcze wtedy przechodziło się spokojnie. Później, kiedy getto zamknięto, dodano umundurowanego strażnika i psa. Nie wpuszczano nikogo. Nie pamiętam dlaczego kiedyś znalazłam się na Wałach Dwernickiego, biegnących wzdłuż torów. Stanowiły one granicę getta. Warunki życia prowadziły do unicestwienia ludzi, którzy tam mieszkali. Nie byłam już beztróską sześciolatką i sporo rozumiałam. Wtedy zobaczyłam, że ulicą za torami jedzie zaprzęg konny. Dwa siwki ciągnęły platformę. Dziś już takich nie ma. Była płaszciska, szersza niż rozstaw kół i w ogóle bez żadnego zabezpieczenia dla ładunku. Ładunek. Na platformie leżały nagie zwłoki wychudzonych ludzi. Ciało powrzucono byle jak. Tu głowa zwisa poza wóz, tam ręka objiła się o drewniane szprychy koła, jakby grała na upiornym instrumencie. Do tego cisza i dwaj wozacy w jakichś za dużych, łątanych kapotach, ledwo przebiegający nogami. Wiozą może nawet swoich bliskich do wielkiego wspólnego dołu przy ulicy Kawiej, gdzie zamiast pożegnania rodziny czeka ich warstwa wapna.

Styczeń 1945. To już blisko. Słychać detonacje strzałów artyleryjskich, a przede wszystkim katusze. Ich wizgot nie pozwala spać i grozi roztrzęśnięciem na dobre naszego domku-staruszka. Jak co roku tak i teraz po szybkach w oknie można „jeździć sankami”. Zamarzły na głucho. Węgla dawno już nie ma. Czasem ciocia Marysia, ta od wujka z odlewni, da worek opału, który przywozi się po śniegu. A jak wyglądał zakup węgla wcześniej? Przy ul. Kościuszki był skład opałowy – tam się go zamawiało. Ponieważ biedacy nie mieli koni, siłą po-

ciągową był węglarz. Miał wózek skonstruowany z dwóch drewnianych dyszli z poprzeczkami. Przestrzenie były dokładnie tak zmontowane, żeby między szczeble wchodził wysoki, stożkowaty koszyk o przekroju kwadratu, wykonany z wikliny lub drutu. Trzy takie kosze stanowiły komplet. Co prawda rzadko kiedy były wypełnione pod wierzch, no i chyba nigdy nie trafiały do jednej komórki. Wszystko to, oparte na dwóch kołach od wozu i sile człowieka, wędrowało pod właściwy adres. Tam wozak wyjmował kosz, opierał o koło, nakładał szelki jak w plecaku i szedł do piwnicy czy komórki. Tam ruchem przez głowę wysypywał zawartość, wzniecając tumany czarnego pyłu. Zapłata za tę pracę była niewielka, bo i ilości opału nieduże.

W czasie ostatniego aktu pobytu, a właściwie ucieczki, Niemców z miasta na zachód miałam także swoje wielkie przeżycie. Z moją małą półtoraroczną siostrą poszłam dwie ulice dalej do sklepu p. Sobczyńskiej. Miałam załatwić zakupy dla mamy. Nagle na ulicy pojawiła się jakaś jednostka wojskowa. Mężczyźni na schwał jechali na pięknych koniach, ale w niezbyt zorganizowanej grupie. Jechali całą szerokością ulicy. Konie parskały, oni się denerwowali, a w tym wszystkim ja zdezorientowana z dzieckiem w wózku. Wtuliłam siebie i wózek w obramowanie zamkniętej furtki prowadzącej na czyjeś podwórko. Myślałam, że już się stamtąd nie wydostanę. Na szczęście ów przejazd nie trwał długo. Bez szwanku, „na gumowych nogach” wróciłam do domu, do mamy, która rozpacziała widząc co się dzieje. To też była jakaś formacja wojskowa. Ludzie nazywali ich Własowcami. Przemknęli jak burza przez ulicę sąsiadującą z moją.

Rosjanie weszli do Częstochowy. Czołgi w mieście. Nikt nie jest w stanie wykonywać normalnych czynności. Tata pędzi w Aleje. Opowiada o unieruchomionych czołgach i właściwie niewielkich zniszczeniach. Ja mu wierzę, ale jak sprawdzę będę wiedziała na pewno. Jeden z czołgów na rogu Alei i ul. Wolności wjechał w cukiernię. Sklep już jest prawie ogołocony ze swej zawartości. Drugi czołg został spalony na rogu I Alei i Placu po stronie nieparzystej. Stoi wrak. Obok leży zabity, zamrznięty koń, z którego ktoś wyciął kawał mięsa. No tak, ale otwarty wąż zaprasza, żeby zobaczyć jak jest w środku. Na siedzeniu kierowcy jakby gruda przepalonego węgla. Czy to ubranie, wyposażenie czy czołgista? Jeszcze raz moją ulicą przechodzili żołnierze, znów innej armii. „Przechodzili” to źle powiedziane. Najpierw – podobno fizylierzy – jechali na pancierzach czołgów, śmiali się, cieszyli i krzyczeli „za rodzinu, za Stalinu”. Potem pojawiła się piechota. Dziwni ci żołnierze. Czapki

z gwiazdą, ale mundury? Nikt takich nie widział. Bluza wkładana przez głowę, ściągnięta parcianym paskiem i jeszcze dziwniejszy plecak. Nasi żołnierze mieli plecaki, menażki, hełmy. Niemcy również, nawet były przedmiotem pożądań niektórych chłopaków. A co mają krasnoarmiejcy? Worki związane u szczytu, zamiast szelek sznurki, które przywiązane są do rogów tego niby-plecaka zabezpieczonych kamieniem lub kartoflem. Jeszcze później moją ulicą jechali żołnierze na wozach i samochodach ze znakiem Czerwonego Krzyża. Jechali do koszar. Teraz był tam przyfrontowy szpital. Nie śpiewali i nie cieszyli się.

Ci czołgiści, którzy zginęli w czasie zdobywania Częstochowy, zostali pochowani na trawnikach przed ratuszem. A może to byli dowódcy? Ich wiecznego spokoju pilnował pomnik-czołg. Kilka lat później ich szczątki przeniesiono na cmentarz Kule. Bez czołgu, o którym jakoś zapomniano. Tak jak w każdym roku, tak i w 1945 po zimie nastąpiła wiosna. Znow na mojej ulicy pojawili się żołnierze, chociaż niczym żołnierzy nie przypominali. Wielu było rannych z najdziwniejszymi okładami gipsowymi na rękach, torsach lub nogach. Zaczęli wędrowki po ulicach. Dlaczego nazywano ich „piżmowcami”? Może tak było łatwiej, wszak piżama nie jest słowem polskim. Chorzy pojawili się także w naszym domu, rozmawiali z tatą, który szybko nauczył się posługiwać jako tako językiem rosyjskim. Pamiętam wizyty Gruzina. Był nauczycielem. Od niego dowiedziałam się, że kiedyś jego kraj był samodzielnym państwem rządonym przez gruzińskich carów, w tym nawet kobietę.

Wojsko do koszar 27 PP nie wróciło nigdy. Budynki przejęła Politechnika. Ale wtedy już mieszkałam przy innej ulicy.■



Fot. Jacek Kamiński



# SPIRALA I MUR

czyli

CZY WARTO **CHODZIĆ NA WYSTAWY**

*Władysław Ratusiński*

**S**Ą WYSTAWY, KTÓRYCH NIE WYSTARCZY ZOBACZYĆ raz, warto do nich wracać. Niekoniecznie muszą to być efektowne ekspozycje, wokół których robi się dużo szumu. Mogą być skromne, ciche, skupione i głębokie. Wydaje mi się, że taka właśnie jest wystawa rysunku węgłem Władysława Szczepańskiego w Galerii Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater”.

Architektura, pejzaż miast i miasteczek – to temat reprezentowany w sztuce polskiej dość bogato. Można przypomnieć chociaż paru artystów. Bernardo Bellotto zwany Canaletto z jego wedytami Warszawy. Marcin Zaleski. Aleksander Gryglewski. Pełne znawstwa, swobody, wirtuozerii rysunki Stanisława Noakowskiego. Aleksander Gierymski. Litograficzne teki Leona Wyczółkowskiego. Akwarele malarza Warszawy Tadeusza Cieślowskiego ojca (który zresztą piękny cykl, reprodukowany na pocztówkach, poświęcił Jasnej Górze). Prace Józefa Toma. Teki An-

toniego Suchanka. Wilno i Paczków Mariana Klaklika.

Wśród tych i innych artystów twórczość Władysława Szczepańskiego zajmuje szczególne miejsce z paru powodów. Są to rysunki niesłychanie konsekwentne, zarówno gdy chodzi o obszar tematyczny, zakres motywów, w którym się artysta porusza – jak i o formę. Konsekwentnie rozwijają indywidualną, specyficzną wizję. Znamienne jest też stosowanie techniki węgla oraz łączenie węgla z pastelem. Ascetyczne w formie kompozycje składają się ze zdecydowanie określonych płaszczyzn o wyraźnych podziałach. Charakterystyczne dla tych prac jest światło. Jasne, świecące niebo kontrastuje z ciemnymi ścianami domów, które coraz bardziej zagłębiają się w cień o zmierzchu, w przedwieczornej godzinie lub wychodzą z mroku nocy o świcie. Mgiełka i poświata zachodniego nieba łagodzi, zaciera ostrość konturu albo przeciwnie: zacierają się szcze-



Szczepański  
foto

Władysław  
Szczepański  
w plenerze na  
przedmieściach  
Lwowa, 1984 r.

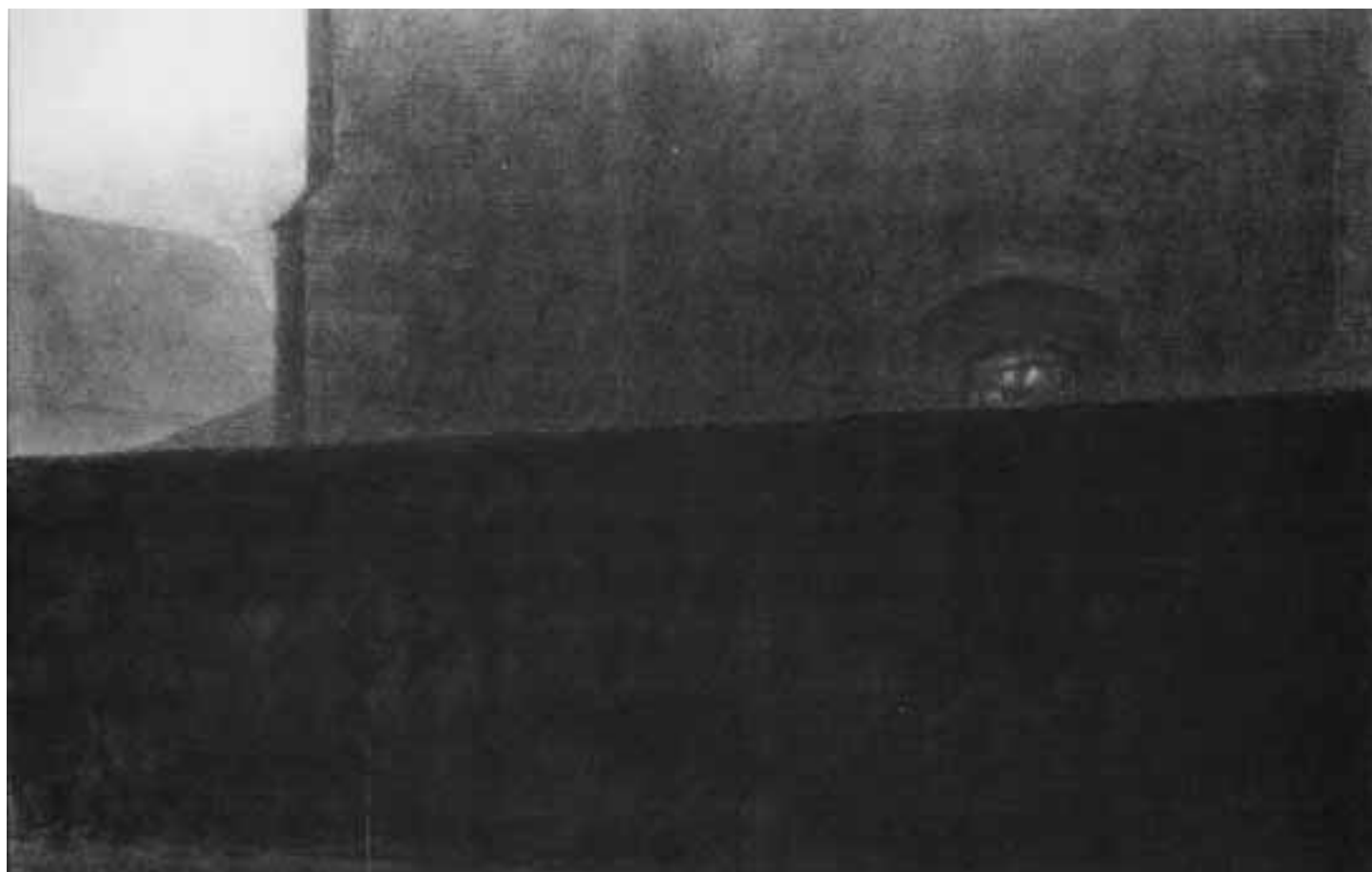


góły, a kontrast jasnego i ciemnego staje się tym ostrzejszy, wyrazisty, nadając najzwyklejszym motywom monumentalną siłę. Światło odbija się w szybach okien, ślizga po murach.

Szczepański jest autorem cykli poświęconych różnym miastom, w tym także rodzinnemu Lwowowi. Jednak w pracach, które poznałem na tej wystawie i wcześniej nie konkret miejsca ma znaczenie. Choć w wielu pracach jest obecny charakterystyczny klimat, nastrój starych miast i miasteczek, zaniedbanych, rozsypujących się budowli, i choć ku tego rodzaju percepcji kieruje odbiorcę sam autor, nadając katalogowi tytuł „Świat, który odchodzi”, nie to jest według mnie najważniejsze w jego pracach. Nie konkretne miejsce, nie nostalgia, nie żal za odchodzącym światem ani nie protest przeciw ludzkiej bezmyślności i bezsile, powodującym, że ulega zniszczeniu coś cennego, co decyduje o charakterze miasta i co powinno być zachowane dla przyszłości. W rysunkach Władysława Szczepańskiego chodzi o coś więcej, o coś nieuchwytnego, trudnego do wyrażenia słowami, o jakiś pierwiastek duchowy w tej materii, w szlachetnych zestawieniach głębokich czerni, srebrzystych szarości i świetlistych bieli, w różnicowaniu planów, w architektonicznym detalu, który nigdy nie jest sam dla siebie, nie stwarza wrażenia suchej, dokumentalnej rejestracji. Nie ma tu nic z przypadkowości, każdy rysunek robi wrażenie dogłębnie przemyśla-



Władysław Szczepański, „Mur II”, 1998, węgiel



Władysław Szczepański, „Mur”, 1995, węgiel

nego. Szczególnie w nowszych pracach zauważa się wyraźnie dążność do syntezy.

Szkoda tylko – ale to już uwaga do organizatorów – że warunki lokalowe nie pozwoliły na wyeksponowanie tej pięknej wystawy w całości. Tego rodzaju prace wymagają szczególnej staranności podania, czystości przestrzeni ekspozycyjnej, a tego, w salce z poskładanymi krzeselkami i sfatygowaną zasłoną, nie zapewniono. Szkoda też, że wystawy nie można oglądać w porach bardziej odpowiednich, to znaczy w soboty oraz w godzinach popołudniowych.

\* \* \*

W radosnym, intensywnym kolorycie trwa zabawa. Malowane z dużym zmysłem dekoracyjnym płótna zaludniają bajkowi rycerze, połykacz ognia, sprzedawcy dywanów. Na wernisażu pokaz fantastycznej mody autorstwa absolwentki łódzkiej ASP wzmacnia jeszcze wra-

Bartosz Frączek,  
„Alicja i ptaki”,  
olej na płótnie



żenie zabawy. Zaś nad okazałym wernisażowym stołem – królewska uczta na obrazie.

Z wesołych różów i zieleni przebija czasem wyraźnie gorzka ironia, myśl o przemocy rządzącej światem przyrody i światem ludzi („Były sobie świnki trzy”). W większości jednak jest tu po prostu radość. I bardzo dobrze. Nie ma powodu, by dobre obrazy musiały być poważne, a tym bardziej smutne. Są śmiałe, zdecydowane w zestawieniach form i barw, w połączeniu dużych płaszczyzn koloru z ornamentem.

W tych beztroskich, zdawałoby się, obrazach – widać jednak dążenie do symbolu. W prostym ornamentcie może objawiać się obraz porządku świata<sup>1</sup>. Dotyczy to przede wszystkim kultur archaicznych z ich wyobrażeniami magiczno-religijnymi.

Motyw spirali obecny jest w sztuce od najdawniejszych czasów. Nie zawsze da się jasno określić, kiedy spirala była bardziej dekoracyjnym ornamentem, a kiedy symbolem. Ogólnie jej symboliczne znaczenie dotyczy cyklicznego ruchu bądź rozwoju, powstawania i przemijania<sup>2</sup>. Spirala jest obrazem drogi. Prawoskrętna – oznacza rozwój, ewolucję, przyszłość, lewoskrętna zaś – odpowiada powrotowi do źródła, oznacza upadek, przemijalność<sup>3</sup>.

Obraz zatytułowany „Wóz z sianem”, zbudowany na kontraście ciepła i chłodu, ciemności i światła – już samym tytułem nawiązuje do Boscha i średniowiecznej flamandzkiej symboliki – pożądania dóbr doczesnych. Zaś koła owego wozu – to u Bartosza Frączka właśnie spirale. Interesujące jest upodobanie artysty do tego motywu, który pojawia się nie tylko w „Wozie z sianem”, ale i w „Jak zdobywano dziki zachód” (również jako koła wozu) czy w „Połykaczu ognia”. Czytelnikowi pozostawiam odpowiedź na ważne pytanie: czy artysta włącza symbole do beztroskiej gry, czy też zabawa jest u niego formą wyrażenia refleksji nad światem i rządzącymi nim prawami?

Zatem warto chodzić na wystawy. Przynajmniej na niektóre.

<sup>1</sup> Manfred Lurker „Przesłanie symboli w mitach, kulturach i religiach”, Znak, Kraków 1994, s. 46

<sup>2</sup> Tamże

<sup>3</sup> Tamże, s. 305

**Wystawa malarstwa Bartosza Frączka  
została otwarta 15 grudnia 2001  
w Galerii „Gaude Mater”**



Fotografie Jacka Kamińskiego





Fot. Jacek Kamiński